

Owocowe biomy * Gdzie te chłopcy * Zakalec * Sceny miłosne
w literaturze pięknej * Rozrywki umysłowe

PL ISSN 0455-7667 Nr indeksu 36 650

nadodrza

ZIELONA GÓRA 10 VIII 1986 — 23 VIII 1986 R.
ROK XXX NR 16 [621] CENA 15 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY



Narodził się nam w Zielonej Górze kabaret „BABY”. Matką chrzestną jest „Gazeta Lubuska” zaś ojcem „Nadodrza” przy współudziale Lubuskiego Komitetu Upowszechniania Prasy. Premiera odbyła się 20 lipca br., podczas festynu prasowego w Drzonkowie. Zespół wykonawców to: aktorzy Anna Chojnacka, Sigrid Siewior i artysta — muzyk Jerzy Bechyně — wszyscy z Teatru im. L. Kruczkowskiego oraz nasza redakcyjna koleżanka Halina Ańska, która jest zarazem autorką wszystkich tekstów. Kabaret ten jest wyrazem odnowionej po latach symbiozy dziennikarstwa z aktorami. Fragmenty pierwszego programu zamieszczamy na str. 10.

Fot.: TOMASZ GAWALKIEWICZ

TO BYŁ FESTYN!

TRADYCJA się utrwała. Po raz trzeci lipcową niedzielą w Drzonkowie była dzień święta lubuskiej prasy „Gazety Lubuskiej”, „Nadodrza” i czytelników. Tłumy mieszkańców Zielonej Góry i okolic wypełniły zielone tereny ośrodka sportowego, zaś na poboczach dróg ustawili się w długich szeregach samochody. Wszędzie panował porządek, świetnie działała komunikacja miejska, sprzyjała pogoda — bez upału, ale też bez deszczu.

Jednak w ocenie uczestników festynu, pamiętających imprezę ubiegłoroczną, za mało było jedzenia, kiosków z atrakcyjnymi towarami i rozrywką. Chcąc się czymkolwiek pośilić, trzeba było najpierw długo stać w kolejce, oferta handlu nie wykraczała poza to, co leży normalnie w sklepach, zaś od estrady wiało gadaniną. W dodatku nagłośnienie było wadliwe, przystosowane tylko do mówienia, a słyszalność utrudniały „przebiegi”. W ubiegłym roku był cyrk, grały kapela podwórkowe i orkiestra do tańca. Tym razem brakło właśnie czegoś w tym rodzaju.

Ale za to był balon — prawdziwy, wielki i wspaniały, który na oczach tysięcy widzów został nadmuchany, po czym wraz z załogą wystartował — i unosił się w dal! Coś takiego rzadko ogląda się bezpośrednio. Były też skoki

spadochronowe — bardzo celne, w sam środek placu, oraz popisy samolotowe, a przy tych okazjach popatrzyliśmy sobie trochę w niebo. No i ten cudowny wypoczynek, ten „luz”, o który tak trudno na co dzień, ten oddech — zielenią i pobliskim lasem.

Nasi czytelnicy wyrazili trzy życzenia: 1) aby nie rozbudowywać Drzonkowa na sposób miejski (to pod adresem gospodarzy gminy), 2) aby w ustronnych miejscach postawić kilka budynków ze znakiem „00” (to do gospodarzy ośrodka) i 3) aby takie festyny — praso-robotnicze, kulturalne, młodzieżowe, handlowe itp. urządzane były częściej. Piliśmy już w ub. roku. Inicjatorzy miłe widziani!

Na koniec wielki plus: ponad milion złotych zebranych ze sprzedaży kart występu i podczas aukcji! Suma ta z pewnością przyspieszy powstanie w Dąbrówce szkoły — Pomnika Rodła i szpitala w Zielonej Górze. Każdy Czytelnik „Gazety Lubuskiej” i „Nadodrza”, który uczestniczył w festynie, w obu tych inwestycjach ma już swoją cegiełkę. Wszystkim współorganizatorom, z Lubuskim Komitetem Upowszechniania Prasy, wszystkim, którzy pracowali przy imprezie oraz naszym Czytelnikom — serdecznie dziękujemy!

(n)

Z dziejów układu Polska-RFN

RATYFIKACJA

Stanisław Ciesielski

Stanowisko Polski wobec Republiki Federalnej Niemiec od początku istnienia tego państwa było określone przez dwa zasadnicze wyznaczniki: ogólny stan stosunków między Wschodem i Zachodem oraz politykę Bonn wobec podstawowych problemów europejskich, wśród których strona polska za szczególnie ważne uważała respektowanie istniejącego status quo polityczno-terytorialnego, a przede wszystkim ostatecznego charakteru granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej i istnienia drugiego państwa niemieckiego — NRD. Decydujące znaczenie miał fakt podpisania 7 grudnia 1970 r. układu o podstawach normalizacji stosunków między PRL i RFN, o czym pisaliśmy w ubiegłorocznym 23 (602) numerze naszego pisma. Obecnie piszemy o drugim ważnym wydarzeniu, jakim była ratyfikacja tego układu w obu państwach.

PODPISANIE UKŁADU o podstawach normalizacji stosunków między Polską a Republiką Federalną Niemiec stanowiło przełomowy moment w stosunkach między obu państwami. Ta ocena formułowana wówczas powszechnie i dziś, po piętnastu latach nie powinna ulegać zmianie, mimo złożonego przebiegu procesu normalizacji i pojawiających się w jego toku trudności. Niemniej układ był tylko punktem wyjścia do tego procesu. Jaka treść miał on być wypełniony, w jakim tempie i w jakiej atmosferze przebiegał — tego podpisany 7 grudnia 1970 r. dokument nie mógł przesądzić. O tym musiała zdecydować praktyka polityczna. W atmosferze pewnego uniesienia i optymizmu towarzyszącej zawarciu układu nie wszyscy potrafili i chcieli o tym mówić, nie wszyscy umieli dostarczyć rąf, na które jego realizacja musiała napotkać. Warto więc odnotować opinię Władysława Gomułki, jaką zaprezentował 14 grudnia 1970 r. na VI Plenum KC PZPR. Dowodziła ona wielkiego poczucia realizmu Gomułki w ocenie sytuacji międzynarodowej i mogła stanowić wartościową dyrektywę dalszego kształtowania stosunków z Bonn. Gomułka bardzo pozytywnie ocenił układ i jego znacze-

nie dla dalszego procesu umacniania odprężenia w Europie. W jego zawarciu widział wielki sukces Polski i państw socjalistycznych. Ale nie był wolny od niepokojów co do dalszego przebiegu procesu normalizacji stosunków z RFN i jasno zdawał sobie sprawę z roli politycznej odgrywanej przez Bonn i strategicznych celów przysięgających rządowi zachodnio-niemieckiemu. Niemcy Zachodnie, będące najsilniejszym ekonomicznie uczestnikiem Wspólnego Rynku, chcą odgrywać coraz większą rolę w procesie szerokiej integracji gospodarczej Europy Zachodniej, torować drogę do jej przyszłego, politycznego zjednoczenia i uzyskać dla siebie pozycję „mocarstwową” — mówił I sekretarz KC PZPR. — „Niemcy Zachodnie normalizując swe stosunki z obozem socjalistycznym, wychodzą tym razem ze stanu jednostronnej zależności od polityki Waszyngtonu i uzyskują określone pole manewru wobec swoich sojuszników. (...) Te konsekwencje polityki wschodniej RFN nie są dla nas niepokojące. Przeciwnie, pogłębiają one sprzeczności w bloku zachodnim, które powinniśmy wykorzystywać zarówno w interesie polityki pokojowego współistnienia, jak i w stosunkach gospodarczych z krajami

Europy Zachodniej. Doceniając w pełni pozytywne strony polityki obecnego rządu niemieckiego z punktu widzenia rozwoju pokojowych stosunków w Europie, nie wolno ani na chwilę zapomnieć, że RFN pozostaje nadal państwem wielkich kapitalistycznych monopolów, ważnym członkiem imperialistycznego Bloku Atlantyckiego, przeciwstawia nam siłę klasowo-polityczną. Dojście socjaldemokracji do władzy nie przekształciło oblicza klasowego tego państwa, ani też nie zmieniło długofalowych celów burżuazji zachodnio-niemieckiej. Zjednoczenie Niemiec pozostaje bowiem nadal dalekosiężnym celem również obecnego rządu RFN. Jednakże rząd ten, zdając sobie sprawę z realnej sytuacji europejskiej, obrat inną drogę wiodącą do osiągnięcia tego celu w przyszłości. (...) Przeciwdziałanie tym zamierzeniom kierownictwa kół niemieckich leży w najgłębszym interesie wszystkich krajów socjalistycznych. Istnienie Niemieckiej Republiki Demokratycznej jako suwerennego, socjalistycznego państwa jest niezbędnym elementem obecnego układu sił między obozem socjalistycznym a obozem imperialistycznym oraz niezbędnym warunkiem trwałego pokoju w Europie”.

Przyjęcie układu w Bonn było zróżnicowane. Wiele gazet o ugruntowanym znaczeniu na tamtejszym rynku czytelnictwa publikowało komentarze, w których dominowały hasła typu „koncesja na rzecz Europy”, „wola po jednaniu”, „akt rozsądku”, „zwrotnice ku przyszłości”, „kreska nad przeszłością”, „kropka nad tym co było”. Z drugiej strony chadająca od samego początku wskazywała na jakoby jednostronne ustępstwa Bonn, na brak równowagi korzyści wyciąganych z przyjętego układu, na jego sprzeczność ze stanowiskiem prawnym RFN, czyli w praktyce ze stanowiskiem przez siebie wypracowanym. Pod hasłami zdrady i interesów przesiedleńczych i w ogóle interesów niemieckich wystąpiły organizacje ziomkowskie. Znamienny był komentarz organu prasowego „Związku Wypędzonych”. „Bonn pogrzebało dobrą sprawę i zdaje mu się, że słuszy lepsze. Dla nas jednak było, jest i pozostaje tylko niemiecki wschód, który

Ciąg dalszy na str. 4

Marzę o czterech synach w hakamach

Kwestia „kultura fizyczna a społeczeństwo polskie” budzi ciągle kontrowersje. Zawsze słychać narzekania na słaby poziom zajęć w wu w szkołach, wszelkie skoliozy i lordozy nekające dzieci i młodzież, znikomą liczbę basenów, lodowisk itd. W chórze tych słusznych skarg zapomina się o przeróżnych inicjatywach ciekawych i potrzebnych, które ratują nasz horyzont — nazwijmy go umownie — sportowy. Umownie, bowiem nie zawsze ambicją instruktorów i ćwiczących są wyniki, rekordy, medale. Bywa, iż oprócz wszechstronnego rozwoju fizycznego liczy się też przyjęcie wartości duchowych, kształtowanie psychiki. O tym, że jest to możliwe, o owym dwustronnym oddziaływaniu AIKIDO, japońskiej sztuki walki, opowie nam instruktor Wiesław Czarniecki z Akademickiego Klubu Aikido, działającego w Spółdzielczo-Uczelnianym Domu Kultury „Mrowisko” w Zielonej Górze. Ewenementem pracy Klubu jest jedna z nielicznych na świecie dziecięca sekcja aikidoków.

— Słowo aikido składa się z trzech znaczących sylab: ai to harmonia, ki — energia wewnętrzna, zaś do-sposób, droga. Mamy zatem do czynienia z drogą, próbą uzyskania harmonii wewnętrznej, przy współudziale energii duchowej. Aikido pozwala na uzyskanie stanu równowagi pomiędzy ciałem a umysłem, wzajemną koordynacją przy zjednoczeniu się z Naturą. Powstałe w 1925 roku w Japonii, aikido jest przede wszystkim sztuką walki, choć wzbogaconą o ciekawą filozofię. Mistrz i twórca aikido, Morihei Ueshiba, uzyskał certyfikaty 32 walk. To znaczy, że jeśli zaczynał ćwiczyć, np. ju-jitsu, judo, kendo, gimnastykę, to kończył naukę w chwili perfekcyjnego opanowania wszystkich możliwych technik. Ten mistrz w 32 sztukach szukał istoty zwycięstwa absolutnego. Zastanawiał się, że jeżeli wygrywa dzisiaj, to w przyszłości znajdzie się ktoś silniejszy, młodszy, zwinniejszy. Wątpliwości skierowały go ku medytacji, studium, aż do osiągnięcia oczekiwanego stanu pojednania z Naturą. Trudno jest nam, Europejczykom, wyobrazić sobie coś podobnego. Jest to przecież typowe dla Wschodu: uznanie wartości przyrody, przydanie jej całej siły wszechświata, uznanie człowieka

jedynie za cząstkę Natury. O'sensei tak wspominał oświecenie, jakiego doznał w czasie spaceru: „...poczułem nagle, że zashwiał się cały świat i toły strumień wytrysnął z ziemi, zasłonił moje ciało i zamienił je w ciało ze złota (...) byłem całkowicie świadomy umysłu Boga, stwórcy wszechświata (...) byłem oświecony. Dziedzina Budo jest miłością Boga, duszą miłosną opieki nad wszystkimi stworzonymi (...) jest to akceptacja ducha i świata, utrzymywanie pokoju (...). Zrozumiałem, że ćwicze nie Budo jest podejmowaniem boskiej miłości, która właściwie stwarza i chroni, kultywuje wszystkie rzeczy w naturze, asymiluje i używa tego w naszych umysłach i ciałach”. X) W tym zawiera się filozofia aikido: nie jest to sztuka walki dążąca do pokonania nieprzyjaciela, lecz droga prowadząca wszystkich do życia w harmonii, w pokoju, jak w wielkiej rodzinie.

W tej sztuce walki dążymy do zjednoczenia umysłu z ciałem. W życiu codziennym zdarzają się takie przypadki: w podobnym stanie jest matka, podno-

Ciąg dalszy na str. 4

Ekspansja miejsko-przemysłowa, rozwój miast, zwłaszcza dużych, pochłania coraz więcej terenów. Dotyczy to także przeznaczania ziem uprawnych i ogrodnich na cele inwestycyjne komunalnych, mieszkaniowych i przemysłowych. Zaczynając dziś przeobrażenia uroczajowe nie mogą upoważniać do tego, aby struktury miast średnich i małych urządzano podług motywacji przemysłowej i na wzór wielkomiejskich aglomeracji. W tradycyjnie rolniczych regionach istotne jest zachowanie trwałych funkcji związanych z wyższością.

Programy rozwoju średnich i małych miast mogą być oszczędniejsze od tych, które dotyczą przemysłowej infrastruktury wielkich miast. Oszczędnościowe programy w gospodarowaniu energią mają np. większe szanse realizacji w małych miastach, a także gminach i wsiach. Można tu wykorzystać energię alternatywną albo zastępczą — np. z silowni wiatrowych, młynów i turbin wodnych, spalania odpadów surowcowych drewniano-tartacznych, łomu leśnego i in. Co więcej, regionalna racjonalizacja gospodarki zasobami energii może stymulować rozwój niektórych lokalnych przemysłów, np. produkcji odpowiednio sprawnych pieców do spalania odpadów drewnopochodnych w celu ogrzewania domów indywidualnych, gospodarstw, szklarni, lokalnych wytwórni, zakładów rzemieślniczych i in. Skuteczność takiego postępowania stwierdzić można w miasteczkach i wsiach Danii, (np. Glensborg, Boneroop Strand), a także w polabskiej części RFN (Wendland i starorzecze dolnej Łaby).

Strefę podmiejską, zwłaszcza dużych miast, należy chronić przed utratą ogrodu i sadów. Są one szczególnie pożyteczne na obrzeżach lasów. Obok funkcji żywicielskich, spełniają rolę strefy ochronnej wobec ekosystemu leśnego — w dobie ekspansji terytorialnej przez myśli i komunikacji. Przykłady zagrożeń kompleksów leśnych są widoczne w regionach wielkomiejskich, zwłaszcza przemysłowych, także w aglomeracji poznańskiej. Rewitalizacja poprzez biomy.

Podnosimy tu zagadnienie rewitalizacji, odnowy żywotności i aktywności struktur osadniczych miejskich i wiejskich w regionach rolniczych i uprzemysłowionych, a także na obszarach przyległych do dużych miast. Gdy mowa o rekultywacji ogrodnictwa i sadownictwa, zwłaszcza na skrajach kompleksów leśnych w sąsiedztwie miast i osiedli, warto przypomnieć znaczenie takich pojęć, jak biotop, biomy, ekosystem.

Biotop — to najogólniej mówiąc, naturalne siedlisko roślin i zwierząt.
Biomy — to wielkie, podstawowe zbiorowiska roślin i zwierząt żyjących na

terytoryum o pewnych ogólnych właściwościach i o określonych formach życia. Zbiorowiska te, czyli biomy, na danym obszarze dominują. Przykładem może być biomy leśny, a także biomy ogrodniczo-sadowniczy. Takie biomy często występują wokół miast — dużych i małych, w aglomeracjach i konurbacjach osadniczych. Układ przestrzenny jest zróżnicowany. Przypomnijmy „Kreśl” von Thüna, który u schyłku XIX wieku uzasadniał potrzebę i istotę stref ogrodniczych wokół miast. Wskazywał też na plany i hipotezy o strefach żywicielskich polskiego urbanisty Władysława Czarneckiego, postulowane w jego teorii i praktyce „planowania miast i osiedli” (publikacja ciekawostki PWN 1963—1970).

Ekosystem — to podstawowa jednostka funkcjonalna w przyrodzie, w której zachodzi obieg materii i przepływ energii. Tu celem nadrzędnym jest ochrona kompleksów leśnych, zwłaszcza w regionie dużego miasta. Realność owych celów zależy m.in. od żywotności struktur pośrednich. Celowym jest zakładanie i kultywowanie owych biomów sadowo-ogrodniczych, plantacyjnych i hodowlanych. Dotyczy to szczególnie upraw warzyw i jarzyn, roślin zielarskich, zakładania szkółek drzew i krzewów, sadów owocowych i jagodowych, a także rozwijania pszczołarstwa, hodowli owiec i ryb.

Jednocześnie należy ratować przed zagładą istniejące biomy ogrodnicze — sady, ogrody i zieleńce. Tracimy je bowiem nie tylko pod anonimowym szyldem „urbanizacja — przemysł — infrastruktura”, ale także przy udziale lokalnego planowania przestrzennego.

W kulturach sadowniczych nie jesteśmy w tyle — wskaźmy tu na dowiedzenia i efekty związane z naukowotwórczą i praktyczną działalnością pionierów naszych odnowionych sadów, świadczących już przyrodniczymi i urbanistycznymi profesorami i praktykami działającymi na ziemiach polskich, np. Walery Goetel, Władysław Szafer, Adam Wodziecki, Helena Szafrańska, Zygmunt Nowak, Władysław Czarnecki, Jan Chmielewski, Gerard Ciolek i wielu innych. Zaliczam do nich mistrzów sztuki ogrodniczej i sadowniczej.

W kulturach sadowniczych nie jesteśmy w tyle — wskaźmy tu na dowiedzenia i efekty związane z naukowotwórczą i praktyczną działalnością pionierów naszych odnowionych sadów, świadczących już przyrodniczymi i urbanistycznymi profesorami i praktykami działającymi na ziemiach polskich, np. Walery Goetel, Władysław Szafer, Adam Wodziecki, Helena Szafrańska, Zygmunt Nowak, Władysław Czarnecki, Jan Chmielewski, Gerard Ciolek i wielu innych. Zaliczam do nich mistrzów sztuki ogrodniczej i sadowniczej.

Określone (GOP) oraz w obszarach wydobywania węgla brunatnego. Chodzi o zagospodarowanie wyrobisk pokopalnianych, m.in. na cele biologiczne ogrodnicze pod osłonami. Wielkie, bo 100 hektarowe arale nieużytków i wyrobisk można urządzić pod intensywną uprawę w tunelach foliowych, wykorzystując bezużyteczne zrzucaną do jezior podgrzaną wodę. Np. w rejonie Konina ok. 273.000 m³ wody na 1 godzinę o temperaturze ± 14 stopni C zrzucanej elektrownie do jezior i powodującej dodatkowe zaburzenia ekologii wód. Wielkie rezerwy plantacyjne posiada Zielenogórskie, bogate w tradycje upraw winorośli, zasobne w lasy i podległe rubieże, w łąki i nadszarpnięte góry.

Stwierdza się ogólnie, że zabudowa, wyposażenie techniczne, np. przechowanie z kontrolowaną temperaturą (calodnie), tudzież parki sortowniczo-opakowaniowe i transportowe, nie nadążają za rosnącymi potrzebami tegoż rynku pracy, produkcji, zaopatrzenia i eksportu. Zrównoważenie tych potrzeb i podniesienie jest istotne i bardzo na czasie. Mamy bowiem do czynienia z istotnymi czynnikami aktywności i żywotności regionalnych, w terytorialnej i gospodarczej sferze miast, miasteczek i stref — nie tylko w Polsce, ale także w większości krajów Europy.

Orientacja na aktywa ekonomiczne i ekologiczne jest przejawem witalnego nurtu popytu i podaży — w zgodzie z tradycją, ekologią i egzystencją. Wymiana doświadczeń, możliwości partnerstwa współpracy i kooperacji w zasięgu regionalnym i międzykrajowym, ma tradycyjnie pokazywać perspektywy, szczególnie w strefie krajów Morza Bałtyckiego oraz ku południowi, w regionach naturalnego zaplecza między Wartą i Odrą.

Doc. dr hab. LECH ZIMOWSKI
Przewodniczący Komisji
Urbanistyki i Planowania
Przestrzennego PAN
Oddział w Poznaniu

OWOCOWE BIOMY

Przykładów mamy wiele, wymienimy m.in. szablonowo przeprowadzane tzw. wódnice parcelacji, budownictwa jedno rodzinne kosztem urządzonych już ogrodów, także przydomowych. Stało się tak np. w Poznaniu (po roku 1970) w strefie Ogrodu Botanicznego i w innych dzielnicach, a także w innych miastach.

Tymczasem w Budapeszcie, mieście wielkim, bo zamieszkałym przez 3 miliony ludzi, owe witalne biomy ogrodniczo-sadownicze chronione są przez planistów jak coś trwałego, jak zrenca oka. W bilansach przestrzennych wykazuje się je jako dominanty, kultywowane zasoby zieleni o szczególnych walorach użytkowych. Na obszarze wielkiego Hamburga funkcjonują od ponad stu lat największe w Europie szkółki drzew (Baumgarten), a w okolicznych ustroniu, w starorzeczu dolnej Łaby, do minują witalne gospodarstwa plantacyjne sadów jabłoni i wiśni.

A jak ma się ów ogrodniczy biomy w Polsce? Nieodparcie nasuwają się reminiscencje o zasługach dla sprawy

owej sławy pomologa profesora dra Szczepana Pieniżka. Wykorzystał on doświadczenia zebrane przez siebie w kraju i w USA na rzecz przebudowy polskiego sadownictwa, zwłaszcza uśzlachetniania i dynamicznego rozwoju sadów jabłoni. Zbiory owoców, pod względem jakościowym i wagowo-ilościowym wzrosły kilkakrotnie, także eksport (1960—1985). W ogólności dotyczy to także wiśni, owoców jagodowych, a w sferze upraw pod osłonami — znaczącego wzrostu plonów pomidorowych i ogorkowych.

Jak na tym tle przedstawia się sytuacja w sferze inwestycji i urządzeń technicznych na potrzeby tegoż liczącego się w świecie, zwłaszcza w krajach chłodniejszych, rynku warzywno-ogrodniczo-sadowniczego? Dodajmy, że w Polsce mamy do czynienia z fenomenem upraw szklarniowo-foliowych, a także z młodymi otwartymi sadami i plantacjami, tudzież tradycyjnym ogrodnictwem. W dużej mierze egzystują one w zmiennej konstelacji przestrzennej i gospodarczej, na styku miasta — regionu.

Szczególną rolę dla owych struktur widzimy w regionie Górnośląskiego

Prawie dwa miliony mieszkańców na obszarze 480 tysięcy kilometrów kwadratowych. Słoneczne ulice, domy, ludzie. Przeciska się między nimi tysiące samochodów, a pod nimi pulsuje sieć metra.

Różnorodny i różnobarwny tłum zabiera wielkim miastom świata część ich narodowego charakteru. Odnosi się to także do Berlina Zachodniego, który jest coraz mniej niemiecki, a coraz bardziej międzynarodowy. Widać to zwłaszcza na ulicach, w sklepach, kawiarniach, restauracjach, biurach, fabrykach także w programach telewizyjnych. Wśród osiemnastu kanałów telewizji kablowej, jest specjalny kanał francuski i turecki, są też kanały satelitarne, transmitujące programy w języku angielskim.

Wielka różnorodność jest wszędzie. Na Kurfürstendamm słychać wszystkie języki świata, na placu przed Kościołem Pamięci widzi się młodych ludzi wszystkich ras. I wszystko jest wymieszane: moda na ubieranie się, w której rok 1986 konkuruje z latami 50-tych, style w malarstwie — stare i nowe, moda na meble — nakazująca obok nowoczesnego wideofonu postawić wielką komodę. Wymieszana jest nawet pleć, której podział na męską, żeńską i nijaką coraz więcej daje do myślenia.

Na Kurfürstendamm grano rewie, z udziałem amerykańskiego piosenkarza imieniem Divine. Występuje on w kostiumie, na który składa się obszerny biustonosz, majtki z nogawkami i cienkie rajstopy. Biustonosz, a także majtki na brzuchu i siedzeniu, są mocno wypchane czymś, co trzęsie się przy poruszaniu. Na głowie Divine nosi perukę w jaskrawych kolorach. Śpiewając wyczuwa obłe gesty, oblizuje się, podryguje, daje do zrozumienia, że jest w ciąży. Jest to bardzo niesmaczne i złośliwa karyktura kobiety. — „Jak się pan czuje w takiej roli, bądź co bądź jest pan chyba mężczyzną?” — zapytano go w prasie. — „Jestem aktorem i występuję w kostiumie z którego ludzie się śmieją” — odpowiedział Divine.

Naprawdę śmieszny jest duet „Mary und Gordy”, dwaj młodzi aktorzy, także występujący stale w damskich strojach. Jeden z nich przybrał postać szalowej blondynki w typie Monroe, a ma przy tym figurę i aparycję, której mogłaby pozazdrościć niejedna kandydatka na miss. Ich dialogi i rozmaite wymyślane perypetie na scenie, są pełne aluzji, także politycznych. „Mary und Gordy” wyznali kiedyś, że dopóki grali w teatrze normalne męskie role, nikt na nich nie zwracał uwagi. Teraz robią karierę. Ich występy mają nieustające powodzenie, a bilety wyprzedane są na kilka miesięcy naprzód.

Oglądałam kiedyś w berlińskiej telewizji program „Ich bin was ich bin”, w nim występ aktora Helmutha Baumann. Ten mocno podtatasył państwo, z brzuskiem i łysinką na scenę przysraja się w piórka i ogromne klipsy, nakłada na siebie masę kolorowych fałaszków i biżuterii. Śpiewa fałszem udając kobietę.

„No co się stało z wami panowie?” — zapytuje „Bild der Frau”, najtańsza chyba spośród „klatsch-blattener”, brukowców, zajmujących się sensacjami i plotkami. „Bild der Frau” kosztuje 70 fenigów, wychodzi co poniedziałek

i omawia po swojemu zdarzenia z ubiegłego tygodnia. Jako pismo kobiece, pisze wiele o mężczyznach. Właśnie wymieniam kilka postaci publicznych, będących uosobieniami męskości — i zastanawia się, czy istotnie tak jest?

Alain Delon podobno nosi w domu kwieciste szlafroki i jest pantoflarzem. Inny francuski aktor — Jean Paul Bel-

lmon — zmarł w ub. roku Rock Hudson, w którym swego czasu kochał się wszystkie Amerykanki, okazał się homoseksualistą. Piosenkarz Michael Jackson, jeśli wierzyć prasie, nie jest ani kobietą, ani w pełni mężczyzną.

„Ich bin ein Muttersöhnchen” — przyznaje z przyłulim uśmiechem si-

Gdzie te chłopcy?

Halina Ańska



Jeszcze niedawno była mężczyzną

mondo, podobnie jak nieżyjący Jean Gabin, najlepiej czuje się w kuchni, gdzie wkłada fartuch i przyrządza smaczne zupy, Elvis Presley, za którym szalały dziewczyny na obu półkulach, obierał się, nosił elastyczny pas i czę-

sty już jak gołąbek Omar Sharif. Dzielny męski Omar przyznaje, że przez całe życie był maminsynkiem! „Więc o kim mamy marzyć, czyje zdjęcie przylepić na ścianie?” — martwi się „Bild der Frau”.

Jest taki ktoś. Nazywa się Goetz George, a wcielił się w główną rolę w od cinkowym filmie „Zahn um Zahn” — „Zab za zab”. W filmie tym gra rolę po licjanta nazwiskiem ... Schimanski, czyli po naszymu Zymanski, silnego fizycznie, nadzwyczaj sprawnego, nawet brutalnego, oczywiście w imię sprawy wiadomości.

Goetz George ma lat 42 i wspaniałe muskuly, jest sympatyczny i bardzo, bardzo męski. Tymczasem w filmie jest sceną, gdy Zymanski zostaje znokautowany przez kobietę. „Czy było to w scenariuszu, czy jest to może pański pomysł?” — zapytał aktora tygodnik „Stern”. Goetz George odpowiedział, że — tak, to on właśnie podsunął reżyserowi myśl, by pokazać kobietę silniejszą od mężczyzny, ponieważ w istocie tak właśnie bywa, kobieta zawsze zwycięża, a mężczyzna przegrywa!

Dziennikarka teraz usiłuje dociec, dlaczego Goetz w życiu prywatnym jest wciąż sam, czyżby bał się kobiet, a może ich nie lubi? Goetz na to pytanie odpowiedział dość zagadkowo, co wzbudziło niepokój wielbicielek. „Jeśli nawet taki mężczyzna jak George jest podejrzany, to świat się kończy!” — komentuje „Bild der Frau”.

Tymczasem świat nie kończy się, ale jest pełen przewrotności. Holenderka Rhonda Vanderbilt jest piosenkarką o fascynującej urodzie. Bujne włosy spadają falami na ramiona, oczy patrzą namiętnie spod długich, podwiniętych rzęs. Ma cokolwiek może za silny nos i nazbyt wystające kości policzkowe, ale te defekty łagodzi wyjątkowo „słodki” rysunek wypukłych, złożonych jak do pocałunku ust. Nic to jednak, w porównaniu z piersiami, które Rhonda ukazuje niezakryte, małe okrągłe jabłuszka...

Portret na kopercie długogrającej płyty działa podniecająco. Niewątpliwie ta kobieta ma powierzchowność wyjątkową. Co za rozkosz — móc mieć ją blisko! Ciekawe, jak śpiewa. Kładę płytę na gramofonie i słyszę... bardzo niski baryton! Takim głosem obdarzyła Rhonda natura i tylko ten głos zdradza prawdę, że ta piękna piosenkarka Sztuka medyczna za pomocą noża i kuracji hormonalnych może dokonać wiele. Jednak skutecznego i radykalnego oddziaływania na struny głosowe, podobno jeszcze nie wymyślono.

Na ekranie TV wysoka, elegancka dziewczyna. Jest piosenkarką rockową, śpiewa w sposób nieco drapieżny i w przeciwieństwie do innych wykonawczyń, oszczędza nieco ruch. Nazywa się Romy Hack i jeszcze niedawno była... mężczyzną. Mówi o tym bez żenady. Poddawa się operacji i leczeniu. Uważa się za kobietę. „Czy mieszkasz?” — pyta dziennikarz. „Ach, nie!” — odpowiada ze śmiechem. Następne pytanie: czy zamierza wyjść za mąż? — „Tak, jeśli tylko mocno się zakocham!” — odpowiada Romy Hack. Podobno nieustannie otrzymuje propozycje małżeństwa.

Pomimo zagrożeń chorobą AIDS, na Zachodzie wciąż szerzy się homoseksualizm. Niekiedy można spotkać w gazetach oświadczenia, dementujące plotki, że pan X czy Y lubi zadawać się z chłopcami. Podobno takie oświadczenia we wszystkich środkach masowego przekazu, złożyła niedawno osoba z kręgu rządowych w Turcji. Pan ten posadzony został publicznie o homoseksualizm i tą samą drogą zaprotestował, prosząc społeczeństwo o położenie kresu plotkom.

Jeszcze nie uciechła w RFN afera wokół pewnego generała, którego przylapano w męskim burdelu...

W kabaretach i innych nocnych lokalach — na scenie, przy barze lub na parkiecie, można spotkać tranwestytów. Czasem idzie ktoś taki ulicą, bywa, że całe towarzystwo. Wtedy nawet tu, gdzie zdaje się nie ludzi nie dziwić, przechodnie spoglądają z zaciekawieniem. Mężczyzna w damskim stroju przestał być jednak na świecie czymś całkiem niezwykłym. W Brazylii np. wielu aktorów całkiem serio kreuje role kobiece w filmach, m.in. aktor znany nam jako Sergio z serialu „Avenida Paulista”.

„Mężczyźni uciekają od kobiet. Boją się nas. Czekają na nasze inicjatywy seksualne. Dawniej kobiety, dziś coraz częściej mężczyźni przychodzą do gabinetów lekarskich lecząc obojętność” — pisze tygodnik „Quik”. Inne pismo, dość nieprzychylnie, o nazwie „Praline” przytacza dziesięć podstawowych rad dla kobiety, jak ma prowadzić grę miłosną, by wreszcie wzbudzić stan pożądania u partnera. Reklamuje przy tym pewne medykamenty oraz... aparaty.

„Napisz do nas, zalcz czek, a pozbedziesz się impotencji” — brzmi reklama. Bohaterowie są zmęczeni. Odchodzą i poddają się bez walki. W tym świecie pełnych stresów, pod naporem cywilizacji wśród leków przed wojną, zagładą atomową, chorobami, zarazami i innymi koszmarami, bezpieczniej być kobietą. Więc dzielni niegdyś rycerze zastanawiają się, niczym tarczą, damską koszulą, biustonoszem, spódnicą.

W liczącym 10 tysięcy mieszkańców miasteczku Trynidad w stanie Colorado na południu USA, mieszka dr Stanley Biber. Jest jedynym chirurgiem w tamtejszym niewielkim szpitalu „Mount-Saint-Rafael”, a zarazem jedynym z niewielu jeszcze specjalistów od „przetwarzania” płci. — „Dostosowuję ciało do psychiki, to wszystko” — mówi skromnie.

Wykonał już ponad 1300 zabiegów. — „Z policjantów robiłem policjantki, z braci — siostry, moje dziewczyny tańczą w pierwszych rzędach w Las Vegas” — dodaje z dumą. Na zdjęciu sala ope-

Ciąg dalszy na str. 8

RATYFIKACJA

Ciąg dalszy ze str. 1

natomiast czymś więcej aniżeli tylko ta nimi ceregielami pojednawczymi wyłączone kosztu Niemiec i wygnano".

Wedle ankiety Instytutu INFAS, w grudniu 1970 r. 49 proc. obywateli RFN uznawało zawarcie układu za słuszną, 24 proc. ustosunkowało się wobec niego negatywnie. Pozostali byli obojętni lub niezdeterminowani. Większość zachodniemieckiej opinii publicznej skłonna była przyjmować jako konieczność wynikającą z sytuacji międzynarodowej, uniemożliwiającej trwanie na dawnych pozycjach. W gruncie rzeczy stanowisko to nie było obce przynajmniej części opozycji chadeckiej. Ale znalazła się ona w niezwykle trudnej sytuacji.

Chadecy zdawali sobie sprawę, że akceptacja przez nich układu z Polską i ze Związkiem Radzieckim byłaby równoznaczna z przyznaniem się do fiaska własnej polityki wschodniej prowadzonej przez poprzednie 20 lat. Co więcej — oznaczałoby to uznanie polityki rządu socjalliberalnego i jego szefa. Tego chadecy żadną miarą uczynić nie chcieli i nie mogli, jeśli mieli zachować swą tożsamość i wiarygodność. Z drugiej jednak strony równie oczywista była sprzeczność takiej postawy z opinią znacznej części społeczeństwa zachodniemieckiego i międzynarodowych kręgów politycznych, z którymi CDU/CSU musiały się liczyć. Dlatego też chadecy wybrali specyficzny sposób podtrzymywania swego negatywnego stanowiska wobec układu. Od początku starali się mianowicie kwestionować formalne podstawy układu, poddając w wątpliwość ich zgodność z konstytucją zachodniemiecką. Równocześnie, w sensie politycznym, przedstawiono traktaty z ZSRR i Polską jako naruszenie przez rząd Brandta-Scheela „niemieckiego interesu narodowego”. W tych kierunkach rozwijała się chadecka propaganda antyukładowa w 1971 r. i w tych też kierunkach podjęli chadecy działania, gdy w grudniu 1971 r. rząd bniński skierował do parlamentu projekt ustawy ratyfikacyjnej.

W Bundestacie, gdzie najpierw trafił projekt rządowy, CDU i CSU posiadały większość i postanowiły wykorzystać ją do zastosowania swoich taktyki obstrukcji. Głosami chadeckimi Bundestag uchwalił rezolucję formułującą w formie pytań szereg formalnych zastrzeżeń wobec układu i domagającą się od rządu wyjaśnień w tych kwestiach. Pytania były przy tym tak skonstruowane, by każda na nie odpowiedź miała wykorzystać do walki z rządem. W podobnym duchu przedstawiciele opozycji występowali na forum Bundestagu w lutym 1972 r. w związku z pierwszym czytaniem ustawy ratyfikacyjnej. Ustawę przy tym stworzył wrażenie, że układ nie znalazł pełnej aprobaty zachodnich sojuszników RFN. W odpowiedzi Brandt i Scheel stawiali chadecji zasadnicze pytania: czy jest ona za rezygnacją z użycia siły i za rezygnacją z roszczeń terytorialnych?

Na takie pytania chadecja jednak nie zamierzała odpowiadać jednoznacznie. W miarę przybliżania się terminu ostatecznej debaty ratyfikacyjnej zaczęły się gęścić wydarzenia, które poddawały w wątpliwość wcześniejsze przekonanie, że ratyfikacja układu z Polską i ZSRR nastąpi jednak niezależnie od przebiegu publicznej nad nimi dyskusji, dzięki posiadanej przez SPD i FDP większości w Bundestagu. W 1969 r. większość ta wynosiła 12 mandatów,

jednak jeszcze w 1970 r. w wyniku zmian barw partyjnych stopniała ona do 6 mandatów, a gdy w lutym 1972 r. z SPD do CDU przeszedł Herbert Hupka, wynosiła już tylko 4 głosy. Dalsze zmiany nastąpiły w kwietniu, gdy trzech posłów FDP zapowiedzieli wystąpienie z partii bądź złożenie mandatów. W tych warunkach chadecja postanowiła obalić rząd Brandta jeszcze przed debatą ratyfikacyjną. Chciano do tego celu wykorzystać dyskusję nad budżetem wyznaczoną na 26-28 kwietnia. Gdy wia domosć o tym przeniknęła do opinii publicznej w całej RFN doszło do fali masowych demonstracji i strajków ostrzegawczych. W razie obalenia rządu groziło strajkiem powszechnym. Mimo to opozycja zgłosiła wniosek o konstruktynym wotum nieufności dla rządu. Układ sił w Bundestagu zapowiadał jej zwycięstwo w tym głosowaniu. Niespodziewanie jednak za wnioskiem opowie działało się tylko 274 posłów, dokładnie o dwóch za mało, by przeszedł. Jednak 28 kwietnia Bundestag odrzucił projekt budżetu zgłoszony przez Urząd Kancelarii, co zdaniem opozycji powinno pociągnąć za sobą rządowy wniosek o wotum zaufania. W takiej sytuacji doszło do rozmów między rządem a opozycją w celu znalezienia płaszczyzny porozumienia. W ich toku opracowano wspólny projekt rezolucji precyzującej zasady polityki RFN.

Nieoczekiwanie 15 maja 1972 r. przywódca chadeckiej opozycji Reiner Bärzel oświadczył, że w obliczu uzyskania przez rząd wyjaśnień uważa za możliwe poparcie ustawy ratyfikacyjnej. Było to z jednej strony efektem uzgodnienia wspólnej rezolucji, a z drugiej strony braku zgody w szeregu chadecji. Już bowiem głosowanie nad wotum nieufności do rządu wykazało, że nie wszyscy deputowani opozycji skłonni są popierać stanowisko „jastrzębi” spod znaku F.J. Straussa. Między innymi był minister spraw zagranicznych Gerhard Schröder i przewodniczący Ewangelickiego Kongresu Kościelnego Richard von Weizsäcker opowiadali się za ratyfikacją układu. Wobec

jednak zdecydowanego sprzeciwu CSU nie chcąc dopuścić do jawnego rozłamu w opozycji, przywódcy chadecy uzgodnili, że w trakcie głosowania wyznaczonych na 17 maja CDU i CSU powstrzymają się od głosu.

17 maja 1972 r. o godzinie 14.00 rozpoczęło się decydujące posiedzenie Bundestagu. Jako pierwsi przemawiali przedstawiciele koalicji rządowej: prof. Carl Schmidt z ramienia SPD i Wolfgang Mischnick z ramienia FDP. Przedstawili oni uzasadnienie układów i ich znaczenie dla całokształtu sytuacji w Europie. Jako trzeci wystąpił Kurt Georg Kiesinger z ramienia CDU i CSU, zapowiadając, że postanowiły one „powstrzymać się od wyrażenia aprobaty” dla układów i przytaczając podstawowe argumenty przemawiające się w czasie całej wcześniejszej kampanii politycznej. Dyskusję zakończyło wystąpienie ministra Waltera Scheela, który „w przekonaniu, że naród nasz potrzebuje pojednania z narodami wschodnioeuropejskimi” zapowiedział do izby o zgodne poparcie układów. O godzinie 15.10 zarządono głosowanie. W piętnaście minut później przewodniczący Bundestagu ogłosił wyniki. Układy z Polską i ZSRR zostały ratyfikowane większością 248 głosów, przy 17 głosach sprzeciwu i 231 wstrzymujących się. Dwa dni później układy uzyskały akceptację Bundesratu, a 23 maja prezydent Gustav Heinemann podpisał ustawę ratyfikacyjną.

Tego samego dnia kiedy Bundestag przegłosował ratyfikację układów z Polską i ZSRR, przyjął także głosami wszystkich partii rezolucję w sprawie obu układów. Wyświadczyła ona ponownie na czoło problem rezygnacji z użycia siły, a nie uznania granic, jako istoty układu z Polską. Stwierdziła przy tym, że oba układy „nie antycypują uregulowania problemu Niemiec w trakcie pokojowym i nie stwarzają żadnej podstawy prawnej dla istniejących dziś granic”. Była to oczywiście próba jednostronnego osłabienia postanowień układów, wychodząca naprzeciw postulatom chadecji. Czy ze strony socjaldemokratów i liberałów akceptacja takiej rezolucji była tylko koniecznością wy-

nikającą z obaw, że bez zapłacenia takiej ceny mogłoby nie dojść do ratyfikacji? Dziś odpowiedź na to pytanie jest w pewnym sensie bez znaczenia, gdy socjaldemokraci jednoznacznie przeciwstawiają się chadeckim tendencjom w polityce wschodniej. Ale na początku lat siedemdziesiątych musiała to być postawa osłabiająca zaufanie do intencji Brandta i jego partii, co z pewnością nie służyło sprawie normalizacji.

W odpowiedzi na rezolucję Bundestagu, sprzeczną z duchem i literą układu z 7 grudnia 1970 r., polski minister spraw zagranicznych Stefan Olszowski oświadczył na forum Sejmu: „W układzie RFN uznano granice na Odrze i Nysie Łużyckiej za nienaruszalną i ostateczną. Jest to ostateczne uznanie międzynarodowoprawne i żadne zastrzeżenie zawarte w jednostronnej rezolucji Bundestagu nie mają żadnej mocy z punktu widzenia prawa międzynarodowego i zobowiązań wynikających z układu”. Identyczne stanowisko zajął rząd radziecki.

W Polsce proces ratyfikacyjny uzyskał szczególną rangę. Rząd wystąpił z odpowiednim wnioskiem do Rady Państwa już 20 kwietnia 1972 r. Z kolei Rada Państwa, w uznaniu wielkiej doniosłości układu, skierowała jego tekst wraz z wnioskiem rządowym do Prezydium Sejmu z prośbą o opinię. W związku z tym sprawa układu była rozpatrywana na plenarnym posiedzeniu polskiego parlamentu, jakkolwiek nie wymagała tego polska procedura ratyfikacyjna. Izba przekazała sprawę do komisji prac ustawodawczych i komisji spraw zagranicznych. 25 maja komisje te na wspólnym posiedzeniu sformułowały opinię, że wniosek ratyfikacyjny powinien być przez Radę Państwa zatwierdzony. Następnego dnia Rada Państwa podjęła uchwałę o ratyfikacji układu.

W rezultacie takiego przebiegu wydarzeń w Polsce i w RFN 3 czerwca 1972 r. mogła nastąpić w Bonn wymiana dokumentów ratyfikacyjnych, a tym samym układ z 7 grudnia 1970 r. wszedł w życie.

STANISŁAW CIEŚLICKI

Ciąg dalszy ze str. 1

sząca samochód, bo pod kołami leży jej dziecko, oraz ktoś uciekający przed psem i pokonujący niewiarygodne przeszkody. Morihai Uyeshiba pokazał ludziom, że możliwe jest trwale wykształcenie owego stanu. O'sensei ćwiczył jeszcze na kilka tygodni przed śmiercią. Widać było po nim, że jest starym człowiekiem, umierającym, miał 86 lat, ale gdy wchodził na dojo, umiał odepchnąć atak 10-15 ćwiczących. Są np. filmy pokazujące Mistrza w otoczeniu atakujących, robiącego nagle taki wydech, iż wszyscy napaściny wylatują jak z katapult. Nie była to jedyna umiejętność Mistrza potrafił wyzwać, że ktoś chodzi dookoła sali ćwiczeń i przeszkadza. Potrafił też wyprzedzić własną myślą — myśl cudzą. Był przypadek, że ktoś chciał strzelić do Mistrza, lecz ten zdążył wychwycić istotę, właśnie ów zamysł i przed człowiekiem celującym znalazła się pustka, a nie żywy cel. Jest to trudna sztuka, ale osiągalna: udaje się wielu znakomitym aikidokom, m.in. Koichi Tohei, najwięcej kszemu obecnie mistrzowi, posiadające mu 10 danów.

— Na czym polega strona techniczna aikido?

— Dążeniu do zjednoczenia ciała z umysłem służy charakterystyczny ruch okrężny; bezkolizyjny, bezkonfliktowy ruch po okręgu. Nie ma możliwości zerwania się z partnerem: siła przeciwnika rozkładana jest w ruchu okrężnym, a partner jest rzucony lub zakłada mu się tzw. dźwignię. Prawie wszystkie techniki są dźwigniami na stawy, głównie na nadgarstki. W momencie założenia dźwigni — partner odczuwa ból po usunięciu uchwytu — ból ustaje. Jeśli zaś nadal ból dotąd unieruchomione części ciała, to znaczy, że dźwignia była źle założona, zaś aikidoka ze swą sztuką stał na niskim poziomie. Jeśli rzuca się partnerem, a on zrobi sobie krzywdę, to odpowiedzialny jest za to rzucający. Nie ma tego w żadnej innej sztuce walki.

Aikidoka nigdy pierwszy nie zaatakuje, bo nie zna technik ataku. Zawsze stoi i czeka. Z brzuchem do przodu, gdyż środkiem ciężkości jest hara. Tam mieści się energia wewnętrzna, którą potem wyrzuca przez końce palców na zewnątrz. Im mocniej przeciwnik atakuje, z tym mocniejszą spotyka się kontrę.

Mistrzowie aikido tłumaczą, że trzeba 5 lat ćwiczyć, aby dobrze założyć pierwszą dźwignię iku, zrozumieć ją i umieć zastosować w każdej sytuacji. Jeśli ćwiczy się drewnianym mieczem, bokkenem, trzeba 10 lat atakować, by potem zacząć się bronić. Wykonuje się więc setki tysięcy samych cięć. Trzeba się zjednoczyć z mieczem i traktować go jak część ciała. Nie tnie się bowiem bokkenem, ale energią wewnętrzną, która wychodzi przez ręce, palce, wreszcie miecz.

Trening aikido obliczony jest na lata. Jeden z mistrzów Zen powiedział: jeśli czekasz na dziewczynę, to 15 minut wydasz się długo. Ale jeśli ćwiczysz jaką-

Marzę o czterech synach w hakamach



Ćwiczenie aikido w wykonaniu członków Akademickiego Klubu Aikido w Zielonej Górze. Fot.: MIECZYSLAW JURGA

kolwiek sztukę walki, to 50 lat jest do piero początkiem.

— Czym dla Pana jest ta sztuka?

— Aikido jest po prostu częścią mojego życia. Najważniejsze jest dla mnie to, co osiąga się poprzez aikido: miłość, harmonia i pokój między ludźmi. Gdy mam problemy, wystarczy, że przyjdę na trening, pocwiczę, otrę pot z czoła i czuję się dużo lepiej. Samo wejście do dojo, uklon, etykieta-zaproszenie do ćwiczenia, podziękowanie, wszystko to emanuje spokojem, przynosi relaks, po godzinie ducha. W czasie ćwiczeń owo nagromadzone zło wyrzuca się przez wspo-

mniany ruch okrężny. Następuje tak po trzebne oczyszczenie.

— Jak ocenia Pan poziom swej techniki walki?

— Nie powinienem oceniać swego poziomu, mogę tylko powiedzieć, że ćwiczę siłowy ruch, zaczynałem w 1979 r. Aikido jest trudną sztuką walki. Dla kogoś, kto ćwiczy 3 miesiące — mogę być dobry, lecz komuś, kto trenuje ze mną od początku, nie są obce moje błędy.

— Ale na pokazie zorganizowanym przez „Mrowisko” z okazji Dnia Dziecka, okazało się, że występy aikidoków są bardzo widowiskowe!

— To naturalne, że w czasie pokazu prezentuje się techniki, które wyglądają

ją atrakcyjnie. Lecz pamiętajmy, że na ulicy wolno aikidokom użyć dźwigni tylko w razie zagrożenia życia.

— Ciekawą stroną działalności prowadzi przez Pana Akademicki Klub Aikido jest jedna z niewielu na świecie sekcja dla dzieci.

— Dopiero w listopadzie ubiegłego roku zaczęliśmy ćwiczenia z dziećmi, których jest około dwadzieścioro, w wieku do 12 lat. Oczywiście, mamy swoje kłopoty — np. z kimonami. Poza tym trening ten jest trudniejszy niż z dorosłymi. Dziecko jest wrażliwe i łatwo je urazić. Ale mam własne dzieci i staram się zrozumieć i je, i drugie. Nie chcę być mistrzem, raczej prowadzącym i przyjaciele. Ważne jest też, aby utrzymać odpowiednią, pogodną atmosferę w czasie ćwiczeń.

— Jak ocenia Pan rezultaty dotychczasowej, półrocznej pracy z dziećmi?

— Ogranicza nas, niestety, szczupłość sali i czasu. Dzieci ćwiczą raz w tygodniu i to jest za mało. Jeśli pokaże jakikolwiek ruch, to po tygodniu dziecko go zapomina. Od przyszłego roku szkolnego postaram się ćwiczyć z dziećmi chociaż dwa razy w tygodniu.

Trudno w tej chwili mówić o efektach. Na razie mniej ważna jest strona techniczna aikido, bardziej — etyczna. Dzieci wiedzą już, że nie trzeba walczyć, raczej współzawodniczyć z samym sobą, że złą stroną charakteru, trzeba kochać i szanować rodzinę i siebie nawzajem. Techniki uczymy powoli — aikido jest najlepszą gimnastyką, jaką znam. Wszystkie mięśnie i wszystkie stawy są rozciągane. Jednak dzie ci jeszcze rosną i nie można im zrobić krzywdy.

Na świecie znane są też inne formy aikido, np. dla kobiet, ludzi niepełnosprawnych, ludzi w podeszłym wieku. W Szwecji kobiety ćwiczą do ósmego miesiąca ciąży. W tej sztuce walki nie ma ograniczenia wieku czy zdrowia.

— Jak rodzina odnosi się do Pańskiej pasji?

— Rodzice sądzili, iż żeniąc się, gdy przyjdą na świat dzieci, zrezygnuję z aikido. Ale stało się inaczej. Dzięki wyrozumiałości żony ćwiczę nadal, jeżdżę też na staże instruktorskie do Warszawy i do Szczecina. W zamian za to, staram się jak najwięcej pomagać w domu, żyć zgodnie z filozofią aikido. Nigdy, kosztem własnych zainteresowań nie mógłbym skrzywdzić swej rodziny.

— Czy chciałby Pan ćwiczyć aikido z żoną, z dziećmi?

— Czasem, gdy chcę zobaczyć jakiś specjalny ruch, dźwignię — żona jest moim partnerem, ale na razie — w jej przypadku nie ma mowy o regularnym treningu, zbyt wiele jest obowiązków w domu. Za to starszy, trzyletni syn chce by z nim ćwiczyć. Za rok mama uszyje mu kimono i zaczniemy razem trenować.

nować. Nie mogę jednak przewidzieć, co będzie za 5 lat.

Marzyłoby mi się czterech synów w hakamach...

— Jak, po stroju, rozpoznaje się stopień wtajemniczenia aikidoki?

— W Polsce wygląda to następująco: stopień podstawowy to zielona naszywka na pasie kimono, potem stopień średni — naszywka niebieska, a stopień mistrzowski — naszywka czarna, upoważniająca do nożenia hakamy. Jest to strój o kilku znaczeniach: podobne spodnie — spodnie nosili samuraje; ze względu na swój geometryczny kształt, hakama pozwala wyczuwać własną stabilność i centralizację oraz maskować przed przeciwnikiem układ stóp i sposób obrony. W czasie ruchu aikidoka czuje się kulą, poruszającym się też niejako w kuli.

Hakamę może również nałożyć dziewczyna, już z niebieską naszywką, na pasie. Tak jest w przypadku Małgosi z naszego Klubu.

— Czy chciałby Pan wyróżnić kogoś z zielonogórskiego środowiska aikidoków?

— Aikido zaczęło działać w Zielonej Górze w 1979 roku dzięki Markowi Wójniakowi, wtedy jeszcze — studentowi Wyższej Szkoły Pedagogicznej. W roku 1983, również z jego inicjatywy, powstał Akademicki Klub Aikido, jedyna pełnoprawna organizacja tego typu w Polsce. Marek pomagał stawiać pierwsze kroki w aikido: zaczynało nas 70 osób, zostało czynnych trzech zapaleńców, bracia Kirmielowie i ja.

Nie chciałbym nikogo wyróżniać z Klubu, bo każdy z ćwiczących daje z siebie wszystko, na co go stać: pomaga rozkładać ciężkie maty, przewozi sprzęt na pokazy aikido, załatwia różne inne sprawy. Ale przede wszystkim ćwiczy. Przed każdym, kto opłaca 150 technik podstawowych, otwierają się wrota do 5.000 pozostałych technik aikido. Droga do własnej doskonałości.

Rozmawiała: MALGORZATA KOWALSKA-MASLOWSKA

x/Cytat pochodzi z książki Mariana Osńskiego „Droga O'sensei”, Szczecin 1980, s. 11

OBJAŚNIENIA WYRAZÓW JAPONSKICH

aikido — japońska sztuka walki, która uczy koordynacji ciała z umysłem i po zjednoczeniu się z Naturą, budo — sztuki walki, dan — stopień mistrzowski, dojo — sala treningowa, gdzie uprawia się sztuki wojenne, hara — centrum istnienia, hakama — spodnica — spodnie noszone pod gim, białym strojem, ju-jitsu — sztuka samoobrony przy użyciu rzutów, podcięć, dźwigni, uderzeń i duszeń, judo — sztuka walki bez broni przy użyciu rzutów, podcięć, dźwigni, duszeń i trzymania, dzis dzyppina sportowa, kendo — sztuka walki na bambusowe miecze, O'sensei — mistrz, odkrywca aikido — Morihai Uyeshiba.

A wszystko stało się z powodu fiałta koloru wody morskiej. No, nie tak zupełnie, bo i Heńki, i zabawy z bufetem obficie zaopatrzonym oraz orkiestrą doborową, i prawie szwagrowstwa między Władkiem Midurą a Grzeskiem Misiakiem, obu świętej pamięci. Stary Midura pluje sobie w brodę, idzie przez wieś z głową zwieszoną na piersi jak złamana gałąź i prosi Boga, jeśli on jeszcze jest, o przebaczenie i niesie co miesiąc tysiąc złotych na plebanie, i prosi proboszcza o odprawienie mszy za duszę jego syna. I przeklina siebie, mechanizację, Misiaczkę. Chciałby usiąść na ławce przed czymś domem i wytłumaczyć, że to nie jego winna. Czy on wybierał tego fialta? On kazał Władkowi brać Grzeska na przednie siedzenie i jechać na zabawę do Przymerza? Midura tylko pragnął jednego, całe życie o tym myślał, rozwodził, jak zatrzymać Władka na ojcowiznie. Nie Bożena ani Kryśka, lecz jedynak Władek miał być gospodarzem, najlepszym we wsi, gminie, nawet województwie. Najlepszym i sołtysiem, najbogatszym i posłem, najmądrzejszym, najnowocześniejszym, naj... Niczego więcej nie pragnęła Misiaczka, tyle że później, kiedy już Władek Midura miał fialta i notarialnie przepisana ojcowiznę.

— Midura winowaty — twierdzi Misiaczka, kłusując przez podwórze.

— Taż ja... jak Boga szczerze kochał! Żebym wiedział, że by kazał posterunkowemu, żebym wziął w kajdanki. No, wychodzi na to, co ja winowaty. Ja winowaty.

— Na kościół nie dał. My się składaliśmy po tysiącu, kto może to dawał dwa, co niektórzy — trzy albo więcej. Kierownik szkoły, a on mocno partyjny, też dał. My cegły zwozili, cement kupowaliśmy na siebie, bo dla kościoła nie ma, a Midura, młody, nie. On jakby mógł, to by jeszcze z kościoła zabrał. — Babina nie mówi, że Pan Bóg pokarał Władka, nikt w to nie uwierzy, ale i nie broni go. Gdyby jak wszyscy oczekiwali się z płaceniem podatków, stał w kolejkach po kombajny kółkowi, narzekal na naczelnika, o! wtedy cała wieś by go żałowała, a tak stało się, jak się miało stać: wszyscy w Peczewie są równi i czekają na listonosza z rentą.

Póki żył stary Misiak, Misiaczka to po sól, cukier, zapakła myk przez dziurę w płocie do Midurów.

— Spółdzielnia zamknięta, a mnie trza... Pożyczy kuma, oddam...

pożyczka, ale nie wychodziła od Midurów, tylko przysiadła pod piecem i...

— Co kuma smaży? Błiny? Może i ja?... Stary błiny lubi. Jemu na brzuch mięso zakazane.

Teraz ani tej dziury, ani nawet Misiaczka nie zajrzy za płot, najwyższe splunie w stronę starego Midury, tego bandziora, który na tamym świecie nie zagna spokoju. A Midurze coraz bliżej na piaszczyste wzgórze między nieboskłonami. Misiaczka też już nie wiele zostało.

Zaraz jak dopadła się noc wojny, transportem repatriantkim z Polesia przyjechali Misiakowie i zajęli ten wielki dom, w którym aż cztery pokoje, podłogi drewniane, okna podwójne, piwnice chłodne. Midura wracał z Berlina i też zatrzymał się w Peczewie, a kiedy pół podłuczkiej wsi wygramoliło się z wagonów na stacji w Krośnie, on upatrzył sobie pannę akurata, ożenił się, zakasał rękawy żołnierskiego drelichu wysoko i kopał kłonię, bo poniemieckie to niczyje, kartofle. Nakopał tyle, że starczyło Midurów, Misiakom, na bimber i na sadzenie. W Peczewie ludzie z różnych stron — wilniuki, pyraki, Poleszki, Wołyniaki. W pierwszych powojennych latach patrzyli na siebie spode łba, czekali, sami nie wie-

dzieli na co. A Midura nie; Midura to pojechał do starostwa, to jeszcze dalej, i miał sam tyle, ile cała wieś razem. Potem przyszły lata kolektywizacji; Misiak zapisał się jako jeden z pierwszych, Midura czekał, odwiekał, chociaż spodziewał się, że będzie musiał oddać do wspólnego kotła cały swój dobytek, a żal mu było, o! było żal. To i na mówił Misiaka, by wycofał się ze wspólnoty, co wcale nie było łatwe, bo Ube miało ręce jak kłonicę. W pięćdziesiątym piątym, wiosną, Peczewo odmieniło się, a w rok później cała ziemia była zaorana, obsiana, łąki upstrzone stogami siana, obory pełne krowiego ryżenia. Wtedy też Midura postanowił być panem, kupił radio marki „Pionier”, rower czeski „Stadion” i młockar nie szerokokłomną.

Misiakowie często bywali u Midurów, nadziwić się nie mogli, że sąsiadom żyje się aż tak dobrze. Midurów trzymała do chrztu Heńka, Midura Grzeska, Misiak Władka. Drugi dzień

raz, przy stole wielkanocnym, kiedy Misiaczka wspominała świętej pamięci męża, Midura powiedział, że można pojechać do reagenta i połączyć oba gospodarstwa, nie chce niczego za darmo, do brzo zapłaci. Misiaczka nie odpowiedziała.

Dzieci rosły; Grzesiek Misiak, to już było przesądzone zostanie na ojcowiznie, Heńka właściwie nie wiedziała, co wybrać. Ziemia jej pachniała i miasto nęciło. Czytała w „Przeglądzie”, słuchała w radiu, słyszała w szkole, jakie to boskie życie prowadzą miastowi. Skończyła osiem klas, zapisała się do szkoły zawodowej, ale to nie dla niej, więc machnęła ręką na facha; to pomagała matce i bratu, to wylegiwała się w oczekiwaniu na kawalera, który porwie ją do miasta, to skracając sobie nu dnie godziny szyciem usługowym.

Odwrotnie było u Midurów. Władek w gospodarstwie ani w głowie, zresztą uczył się w szkole mechanicznej, a o mechaników w Krośnie akurat często

k którym było miejsce nie tylko na traktor, zwiózł cegły na stodołę, na podwórzu rozłożył płyty cementowe, że chodzą po jak po placu Wolności w Krośnie. Inni kopali kartofle motykami, kopaczkami konnymi, sypani je w kopce, Grzesiek nie: wynajmował z kółka kolumnę i parował tydzień — dwa, i kisił ziemniaki, i karmił nimi świnię. Inni ledwie dwa razy w roku kosili łąki, Grzesiek trzy. Inni dopiero w listopadzie, po wykopkach siali żyto, a Grzesiek jeszcze we wrześniu. Inni zbierali niewiele więcej niż posiały, a u Grzeski kłosa wyglądały jak na białe owoce. Inni sprzedawali mleko w klasie B, a Grzesiek najdrożej. Inni dołki krowy ręcznie, po bożemu dowiadra, a Grzesiek stał z rekoma po lokcie w kieszeniach i patrzył jak dojarka mechaniczna wyluskuje mleko z krowich wymion.

Stary Midura wstawał przed słońcem i zazdrośnie patrzył za płot, bo żeby sierota...? A gdzie się on tego

przegonił go, a że jako mechanik miał smykałkę do maszyn, nie było to wcale trudne. Dziś już nie wiadomo, kto wpadł na złoty pomysł, by założyć zespół rolników, którym państwo pomaga, a razem, wiadomo, łatwiej i wygodniej i zawsze to bliżej socjalizmowi. Ich dwóch i trzeci stary Midura — o! o! cały zespół. Kto im co teraz robi, jeśli naczelnik przyjeżdża, każe kupować maszyny, obiecuje tony cementu, tłumaczy, że jesienią przydzieli przynajmniej pięćdziesiąt hektarów ziemi kółkowej? Gospodarze, kurtka, całymi gębami, najlepszy we wsi i gminie. Pieniądże sypią się jak ziarno do worków, Pan Bóg pomaga, partia chwali, przyjeżdża telewizja, radio.

— Teraz mnie Ameryka — powiedział przed sklepem stary Midura. — O! i widać, po co ja walczyłem. A będzie jeszcze lepiej.

— W grobie — dopiekl sołtys, żył na Grzeska i Władka, bo Midura, co jemu? stary i z byle czego się cieszy.

Prócz związku produkcyjnego zaczął zawiązywać się związek intymny — Władka i Heńki. Kolligacja ta najbardziej odpowiadała Misiaczce i starym Midurów; wiadomo, Władek ożenił się z Heńką, kiedyś i Grzesiek znajdzie swoją, a starzy na jesienne lata będą mieli nie tylko chleb z masłem, lecz i spokój, nie więc im już nie trzeba, mo że niańczyć wnuki, bo w gospodarstwie miejsca dla nich na pewno nie będzie.

— Żalko co mój tego nie doczekał — podobno powiedziała Misiaczka, na co Midurów wcale nie zareagował, a Midura dodał: — Żeb ja nie kupił tego fialta, nie mieli my by dzieci. Dzisiaj trza myśleć po nowemu.

Gdy wesele było już tuż-tuż, na zapowiedzi dane, dwa cielaki i tucznik przygotowane na kotlety, ludzie dostrzegli, że Heńka przytęła i na twarzy jest jakaś inna, ale nikogo to nie dziwiło, nie ona jedna i nie pierwsza pódziła przed ołtarz z ziarnem miłości. Wtedy też albo Władek powiedział Grzeskowi, albo Grzesiek Władowi, że powinni po kawalersku pojechać na zabawę do Przymerza, oczywiście bez Heńki, choć za jej zgodą. Podobno Grzesiek miał na oku, jak się mówi w Peczewie, niebrydka pannę i chciał przyrzec się jej z bliską, właśnie na zabawie. Wy-elegantowani, z portfelami nabitymi złotówkami pojechali tym niebieskim fiattem 1500, choć mogli wsiadć do pociągu albo kołatać się autobusem, na upartego to i pieszo przez las w pół go dziny byłiby w Przymerzu. Cóż to za kawalerowie, którzy na zabawę jadą jak byle bzdziury! Więc oni fiattem i z butelką żytnej pod siedzeniem, i z kieliszku w żołądku, na wesoło.

Co było dalej, tego nikt ani w Przymerzu, ani w Peczewie nie wie, więc się jedynie domyśla, że na tej wielkiej zabawie oni nie tylko tańczyli. Znaleziono ich rano w lesie. Lekarz był już zbyt późno, Władka pochowano w garniturze ślubnym, ze złotą obrączką na palcu, którą Heńka założyła mu już na cmentarzu.

Od tego dnia stary Midura nie może patrzeć na swoją sąsiadkę, ale najgorzej jest to, że po czterech miesiącach żałoby Heńka urodziła chłopca, podobnego do Władka — trzy i pół kilo, sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, zdrowego, silnego.

Czas zaciera pamięć i leczy rany. Oba gospodarstwa działają. Córki Midury daleko, ani im w głowach powrót do Peczewa, starzy zostali jak dwa palce. Misiaczka też sama, i Heńka sama z synem. Póki Misiaczka miała więcej siły, karmiła krowy, włączała dojarkę elektryczną, sprzedawała mleko, lecz to już jesienią wiek, więc ona przy pomocy Heńki zaczęła sprzedawać to, co żywe. Zostały jedynie zakurzone maszyny, puste i nowe zabudowania. U Midurów podobnie.

Misiaczka idzie przed sklep i krzyczy, że Władek winowaty Midura nie krzyczy, myśli tylko, że gdyby nie Heńka, nie Grzesiek, nie miałby teraz żadnego zmartwienia, spokojnie czekałby sądnego dnia. A tak wstyd mu i żal; wstyd przed wsią i naczelnikiem, żal tych pieniędzy, które włożył w już zbyt czyste gospodarstwo. Powiedział mi, kiedyśmy zaglądali do obory wielkiej jak główna nawa peczewskiego kościoła i pustej jak ta nawa każdej nie dzieli po sumie, że teraz by sprzedał ziemię, dom, maszyny, ale kto dziś to kupi i gdzie się on podzieje.

— Do domu starców? Ja, taki gospodarz? Zastulony?

— Może do córki — odpowiedziałem. A która go zechce? Bożena aż na Śląsku, Kryśka w Zielonej Górze. Ma ją mieszkanie, po dwa pokójki każda, ledwie się mieszczą ze swoimi rodzinami. — Albo trzeba zdać ziemię i poprosić o rentę.

Szkoda Midurze, przyzwyczaił się do rannego wstawania, rozmawiania z krowami, psem, chodzenia po polach.

Misiaczka też by przyjęła rentę, lecz ona ma nadzieję, że znajdzie się taki, który powie do niej: kochana teściowo. A jeśli nikt nie polakomi się na bogactwo Heńki? bo to przecież panna z dzieckiem Midury.

(Nazwy wsi, imiona i nazwiska bohaterów zostały zmienione).

Zakalec

Alfred Siatecki

Bożego Narodzenia — Midurów do Misiaków, po śniadaniu wielkanocnym — Misiakowie do Midurów. Niby sobie obcy, a żyli jak w najlepszej rodzinie; często między braćmi nie było tyle serdeczności, ile między nimi. Łączył ich podobny, śpiewny polsko-ruski język, obie kobiety umiały piec świąteczne korowaje, ubijać proso na kutię, modlili się do tego samego Boga, obaj gospodarze należeli do jednego koła Zetesel. Po pięćdziesiątym piątym ani Midura nie był bogatszy od Misiaka, ani Misiak od Midury. Dzieci rosły obok siebie. Grzesiek wolał o pajdę chleba moczzonego z cukrem, to Misiaczka i Władowi wtykała do ręki taki sam kawalek. Jechała Midurów do Zielonej Góry po kreton na sukienki dla Bożeny i Kryśki, kupowała więcej, żeby było i dla Heńki. Pogotowie zabralo Misiaka do szpitala, a tu środek zimy, żyto dojrzało, to Midura pomógł Misiaczce zebrać zboże co do kłosa. Kiedy Misiak z „Dobry Jezu, a nasz Panie” na woze drabiniastym Midury, pod sztandarem Zbawidowskim odjeżdżał między sosny cmentarne, Midura powiedział, że póki sił mu starczy, pomoże wdowie i sierotom. Sama na siedmiu hektarach, z dwójgiem dzieci, pięcioma krowami, parą koni, to pomoć musi, bo jakby on, prezes koła Zetesel mógł patrzeć na mordęę sąsiadki. Jak obiecywał, tak robił: swoje pole kończył orać, wyjeżdżał na żytnisko czy kartoflisko Misiaczki; żniwa — zebrał żyto u Midury, u Misiaczki, zwiózł do stodoły, ustawili stogi na podwórzu, a potem jak w najlepszej rodzinie młóciła maszyną szerokokłomną aż do jesieni. To samo było z kontyngentami, podatkami, szarwarkami. Niektórzy śmiali się z Midury i pytali, czy jeśli obrabia obie gospodarki, to i obie gospodynie? On nie był skory do sąsiedzkich bajdurzeń, nie sobie z tego dowcipkowania nie robił. Chyba tylko

pytano. Pieniądże wielkie, mieszkanie, no i na lewo można nieźle zarobić. Bożena i Kryśka dla świętego spokoju dojeżdżały do gubińskiej szkoły krawiec kiel. Midura, jak większość sąsiadów, widział swoje córki w biurze, może je szcze wyżej, ale, jak sam powiedział sołtysowi, dziewczyny nie miały głowy do nauki. I myślał, co zrobić, by córki dobrze wyszły za mąż i poszły z domu rodzicielskiego, daleko, najlepiej do miasta takiego jak Zielona Góra albo Krosno, gdzie w mieszkaniach ustępy, woda ciepła. By je odwiedzić, a przy okazji umyć się. I żeby Władek miał już dość tego Krosna, w którym spędza nie dziele i święta, i traci pieniądze. Ojcowizny Midura nie odda w ręce córek, zresztą to nie lata przedwojenne, żeby dzielić siedem hektarów, dom, podwórze, inwentarz, wóz. Gdyby Władek zmądrzał, co innego: ożeniłby go, przejąłby gospodarkę, doradzał, pomagał, póki sił starcza. Zle by im było?

Grzesiek przestał liczyć na pomoc sąsiada za płotu, wyblagał w gminie sześć hektarów dzierżawy, dostał talon na ursusa, wziął pożyczkę z banku i ani wieś się obejrzała, jak w Peczewie stanęła nowa obora, a w niej osiemnastce krow dojnych. Równieśnicy Grzeska znacząco pukali się w czoła. Warlat, mówili, świętek-piątek będzie zaiwaniał, urobi się jak osioł, ani niedzieli, ani urlopu, nawet nie wyskoczy na zabawę, żeby sobie popić. Dlaczego Grzesiek jak nikt we wsi wziął się za gospodarowanie, tego nie wiadomo, choć ludzie mówili różnie.

— Pobuduje i sprzeda.

— Państwo daje pożyczki, to byłby głupi, gdyby nie brał.

— On z Misiaków — przypomniał ktoś sobie i dodał: — Jego ojciec też był chytły.

Wies rozumiała, że Grzesiek wie, co robi, bo po oborze postawił garaż, w

wszystkiego nauczył? Wieczorem, kiedy Władek oglądał film telewizyjny, Midura mówił do niego, by się namyślił i wziął przykład z Grzeską, we dwóch pokaza, kto jest najlepszy w Peczewie. Władek śmiał się tylko.

— Niech se Bożenka albo Kryśka go spodarzy. Ja mam szkołę. Teraz liczy się fach.

Midura ani Bożeny, ani Kryśki nie widział w Peczewie, na swojej ziemi. Gdyby choć miały jakich narzeczonych, no, takich, którzy odpowiadają Midurze, może by i przekazał gospodarke którejś. Wiadomo to, jaki zięć mu się trafi? Może pijak, bumelant, łajza jaka? Stary przepiśnie, a on, ten zięć, od da go do domu starców? I kawałka chleba pożaluje mu na na stare lata? No i żal Midurze tej ziemi, którą władza ludowa dała mu za dwuletnie pedzenie Niemców. Żal i stodoły wyremontowanej i obory pełnej krow i do mu jak dworek, nawet żal mu sadu.

— Władziu...

— Głupiego ojciec szuka?

Na Boże Narodzenie Bożena, w Wielkanoc Kryśka kłęczały przed ołtarzem i przysięgały swoim wybrancom miłość dogonną oraz wierność małżeńską. Tego Midura się nie spodziewał, ale, jak obiecywał, dał córkom niemale posagi. Zresztą nie one pierwsze i nie ostatnie kazały sobie szyc suknie cokolwiek odstające, żeby ukryć przed „sią „grzech”. Nie spodziewał się Midura i tego, że obie, jak sobie wymarzył, osiada w miejsce: Kryśka w Zielonej Górze, Bożena zaś w Dąbrowie Górniczej. Jak kiedyś kłął na wojsko, które mu na półtora roku zabrało Władka, może i przekabaciło na swoją stronę, bo by takiej gospodarki nie chciał? tak teraz dziękował wszystkim generałom, porucznikom, nawet kapralom, a już najbardziej kapralowi Zbyszłowi i starszemu kapralowi Zenkowi, czyli kochanym dzieciom. Ma się rozumieć, że ojciec dał córkom tyle, ile się należało, żyćzył szczęścia na nowo drodze życia, odwoził na stację i: Życie sobie, kochaćcie się, rodzice wnuki. Nie zapominać o matce i ojcu. Odwiedzajcie nas. Piszcie listy.

— Ojciec, Grzesiek, ten ma głowę.

— Ty też po szkołach. Z naszej wsi niewielu wyszło na mechaników. Bo to bie źle?

A Władowi coś się najzwyczajniej pomieszało, bo pierwszym autobusem wracał z Krosna, zjadł co Midurów postawiła przed nim na stole i jechał z ojcem w pole albo naprawiał płot, albo smarował kosiarkę czy kopaczkę. Midura jeszcze nie wiedział, co ta nagła odmiana syna oznacza, ale widział, że Władek jest już inny. Matki i oca nie zostawi na łasce państwa. Byłby jeszcze pewniejszy siebie, gdyby Władek rzucił robotę w fabryce i tak Grzesiek kosił, siał, orał, młócił. Kilka razy próbował podpowiedzieć synowi, by dał sobie spokój z państwową robotą, bo to nie dla niego.

— Fiata ojciec kupi?

— Fiata?

— Niebieskiego. 1500.

Kupił. Władowi i sobie, to znaczy Władowi, bo jemu po co? ale póki syn nie rzucił roboty w Krośnie, fiat będzie ojca, przynajmniej w papierach.

Zaczął się wielki galop. Sąsiedzi poszli na wysięgi. W try miga Władek zrównał się z Grzeskiem, mało tego,

tować swoje możliwości przed kamerami telewizji w obecności specjalistów.

— Wejdę panie do termoregulatora i przy pomocy wysokiej, a potem niskiej temperatury, doprowadzę do tego, że mnie sparaliżuje. Wtedy zastosuję mój roztwór i będę mógł wykonać na oczach wszystkich skoczno go obertasa.

Dość sceptycznie ustosunkowało się do tych deklaracji Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej; w kategorycznej formie wyraziło brak wiary zainteresowania „metodą Adama Wołynca”. Na szczęście są jeszcze Amerykanie, naród ufny i bogaty. Dwa miesiące temu Adam Wołyniec przesłał informację o swojej „metodzie” leczenia do Polonusów z Chicaga. Ja również otrzymuję jeden egzemplarz tekstu odtępnego na powielacz, w którym autor w dużym uogólnieniu opisuje swoją „metodę” i kilka przypadków wyleczenia, w ulocie jest również wyrażona chęć demonstracji przed kamerami telewizji (z tym, że nie jest dokładnie określone o telewizję jakiego kraju chodzi).

Panu Adamowi na pieniądzech nie zależy, dlatego mam obiecanie, że jeśli przyłożę rękę do rozpowszechnienia jego „metody”, to mogę otrzymać nawet 50 procent jego zysków. Kłesa państwowa też na tym skorzysta — ziół nie zabraknie, ale powinno się sprzedawać je tylko w Peweksie, według pana Adama po dziesięć dolarów paczka. I ta dość wysoka cena nie jest podyktowana pazernością! Pan Adam twierdzi, że taka cena w dolarach zwiększa zaufanie, a zresztą jak ktoś ciężko chory to z pieniędzy się nie liczy. Słusznie.

Aby ostatecznie przekonać mnie do metody, Adam Wołyniec podaje jeszcze jeden przykład wyleczenia: pada nazwisko dziennikarza z „Gazety Lubuskiej”. Rzeczywiście, takie referencje nie budzą żadnych wątpliwości; osoba wspomniana przez pana Adama jest bardzo nieufna i trudno ją wyprowadzić w pole. Wchodzę do spółki.

Ludzie! nie wiercie w cuda i lekarzy — wiercie w metodę!

PIOTR PIOTROWSKI



Zielarz

— Leczę ludzi za darmo. Na pieniądzech mi nie zależy. Tu do mnie i mercedesy jeżdżą. Przyjechali samochodem trzysta kilometrów ojciec z synem; syn głowa nie może ruszać, w pilkę grał i tak się urządził. Ja mu zrobiłem te moje kuracje to on zaczął tą głową kręcić jak kaczorek. Ojciec kłeka przede mną pieniądze daje, a ja się śmieję, że nie jestem żaden święty żeby przede mną kłekać.

Święci są u Adama Wołynca na ścianie, Matka Boska z aureolą z żarówek i lekko zakurzony św. Józef. Ale to nie święci czynią cuda i cudu tu właściwie nie ma, jest metoda leczenia, którą Adam Wołyniec wykorzystuje już od trzydziestu lat. Chce swoją metodę rozpowszechnić, zaprezentować światu. Ale jak do tej pory udało mu się tylko opublikować list w „Robotniku Rolnym”. Mimo, że redakcja zastrzegła sobie, że nie ponosi żadnej odpowiedzialności za efekty leczenia, to do wielkiej chatki zaczęły nadchodzić listy z całej Polski, wszystkie podobne w formie i treści; kartka wyrwana z zeszytu, staranne pismo, nadzieja na pomoc w nieszczęściu. Gdy zawiadły medyczne autorytety pozostaje wiara w nieznanego cudotwórcę. Leczą nie na takie zainteresowanie stawia wiejski zielarz. Gotów jest zaprezen-

Prośba

Mylisz więc jesteś
Człowieku Mądry
co tak pięknie
już w grocie Lascaux
malowałeś bizona i jelenie
Ty co masz święte rzeki kamienie
i nazwałeś królem orla i lwa
Stworzyłeś Sfinksa
wiszące ogrody
i rumaki Lizyppa
napisałeś poemat o żubrze
Ty co lubisz konie psy
kwiaty i motyle
człowieku co tak troskliwie
ochraniaś mrowiska w lesie
dokarmiasz zimą ptaki
tak chętnie słuchasz ich śpiewu
i cieszysz się z wszystkiego co żyje
My co nie myślimy a jesteśmy
zwierzęta i rośliny
prosimy Ciebie
ratuj naszą planetę
Człowieku Mądry

Ścinanie kwiatów

I przyszl w ochronnych ubraniach
i kosami ścinali
róż goździki piwonie i maki
i mówili że na nich usiadła śmierć
I odpędzali pszczoły trzmiele i ptaki
i słońca nie dopuszczali promieni
bo po promieniu jak po drabinie
śmierć wchodzi do nieba
A potem szukali kretów i turkud
co podgryzały kwiatne korzenie
i twierdzili że one roznoszą choroby
i zabić je trzeba
— A co z ludźmi?
Ludzie schronią się w schronach
o grubych murach z ołowiu
a ci co nie zdążą wyparują
Pocieszali
że radzący przy okrągłych stołach
mądrzej z każdą godziną
i nie dopuszczają
do wyparowania ludzi

Rzecz zwyczajna

Wydawałoby się że rakietom żelaznym
los nasz jest obojętny —
a one nie słuchają żadnych rozkazów
spią na łożyskach i śnią o pięknie
które człowiek stworzył
O naturze żywej i martwej
i nie chcą wojennej grozy —
wiedzą że wybuchnąć nie warto
Szkoda ludzi i nieba pełnego gwiazd
mórz gór rzek wsi miast
drzew kwiatów ptaków i ich śpiewu
Historyk sztuki wciąż nie wie
jakim cudem kto obudził
tę miłość do ludzi
a także do Wenusa z Milo i Giocondy
miłość co weszła do tych urządzeń
elektronicznych co każą lecieć
Komputery wykazują że rakiety wiedzą
o wszystkich muzeach świata
a najbardziej kochają dzieci —
Nie — myślą — niech nie marzą kaci
nie zabijemy ich
białych czarnych i żółtych
nie zniszczymy kolorowych obrazów
i grót do strzał —
naszych starszych braci
Marszałkowie co nie wiedzą
o malarstwie naskalnym
a nawet o Florencji i Bucharze
nie rozumieją wydarzeń
siewięć ze złości (nie mogą inaczej)
i wciąż pytają:
— Co to wszystko znaczy?!.
A stała się rzecz zwyczajna
do głowicy użyto rudy uranu
ze starych grót w których
człowiek jaskiniowy
malując na ścianach
nucił kołysankę swemu synowi

Jerzy wyjął z szuflady klucz francuski. Przez chwilę ważył go w ręku. „Pozbyć się jej natychmiast”. Położył dłoń na klamce. Skrzypnięcie drzwi, kilka kroków, przyspieszony oddech. Czuje teatralność tej sceny. Za daję cios, drugi, trzeci. Rozbite szkło. Zapach gorzalki. Chwyta portfel i wybiega ścigany stukiem sąsiada.
Doktor Kaszewski częstuje radomski mi.

— Ma. Jak pan sobie wypije. Może się pan od razu znaleźć wśród aniołów.
— Aniołki też piją?
— Cholera wie, panie. Kto teraz nie pije?
Jerzy uśmiechnął się ironicznie, kiedy do podziękowań dołączył niezbędną butelkę koniaku.
— Urodziła syna, o piątą. Waży trzy kilo.

Decyzja

— Gdzie pan dostał?
— Pacjent przyniósł. Dzwonił pan do szpitala?
— Przed godziną.
— I co?
— Na razie nic.
— Zdecydował się pan — mruknął doktor, wycierając izy.
— Uhm...
— Taaa...
Lekarz wyjął z biurka buteleczkę z białymi tabletkami.
— Szwajcarskie — powiedział z uznaniem i zaciągnął się papierosem.
— Gdzie się to wzięło?
— Pod łopatką.
— Żeby trudniej było wydłubać?
— E... panie, dobre miejsce i tyle.
— Jedną?
— Całą fiolkę. Dwanaście sztuk. Położ się pan na kozetkę.
Nie myślał o niczym. Wyobrażał sobie tylko cięcia skalpelem, katgut, zakładanie szwów. Doktor Kaszewski przerywał pytaniem „boli?”. Jerzy zauważył, że pochylona koło lekarza pielęgniarka ma brzydkie kolana. Skończyli.
— Czy to ma jakieś działanie uboczne? — zapytał.

Zaskoczył go brak emocji w głosie pielęgniarki. To właśnie, a nie sama nowina, sprawiło Jerzego w osłupienie. Zorientował się, że powinien jeszcze coś powiedzieć.
— Czy oboje czują się dobrze?
— Tak.
— Proszę przekazać, że przyjadę dzisiaj wieczorem.
Autobus pełzał po oblodzonej szosie. Wokół wirowała śnieżnica. Przyprawiała chatom śmieszne czapy, rozkwitała ciężką bielą na zmęczonych gałęziach.
Jerzy spojrzął na zegarek. Nie złapie ostatniego pociągu. Ale na taryfę starczy Kwiaty kupi jutro. Zamajaczyły uliczne latarnie. Nie jest źle, przed dziesiątą będzie w szpitalu. Wyjął z kieszeni list. Nie pisał o zabiegu. Powie jej. Wyślada pierwszy. Biegnie.
Dziś pan już nie dojedzie. Taryfy też nie jeżdżą. Zasypano wszystko w cholerę. Przeczekaj pan do rana.
— To tylko osiem kilometrów.
— Co ja na to poradzę? Latem, panie, to bez kłopotu. Przez las pięć kilometrów, ale teraz? — machnął ręką.

List

Agaty. Po dwóch latach. Wrzucam kopertę do szuflady.
— Za późno — mówię do siebie, i nie wierzę.
— Patrz — teatralnym gestem otworzyła drzwi.
Jeden kąt pokoju okupował kłofowy piec, naprzeciw przykucał gramofon wzmocniony skromną aparaturą. Pod ścianą wielkie łóżko małżeńskie rozciągnięte w leniwym oczekiwaniu. Kolekcje książek, płyt i śmiesznych gumowych zwierzątek koczowały na podłodze.
— Super — ucieszyłem się.
— Nareszcie własne — potrząsnęła z niedowierzaniem blond krzywą — wspomniała, że przyjechałaś.
— Gdzie Jan?
— W pracy. Wróci koło piątej.
Zaczęliśmy butelkę, kiedy wpadł do pokoju wymachując czymś energicznie.
— Zobaczcie, prawdziwa. Za dwie paczki klubowych.
Była to stara lampa kolejarzka pomalowana na czerwono. Ochrzciliśmy ją lampą Alladyna. Wstawiliśmy do środka świeczkę i podawaliśmy sobie wyśpiwując życzenia. Odetchnąłem. Wszystko po staremu. Płyty Stevensa, Cohena, Jerry Lee Lewisa, ciche rozmowy, wspaniałe milczenia. Leżeliśmy na łóżku, świeca budziła cienie, a Jan grał bluesy na rozstrojonej mandolinie wy-

machnęła ręką. Rzeźbiona cygarniczka ładnie wyglądała w wysmukłych palcach.
— Co z twoją pracą doktorską?
— Nie wiem. Naprawdę.
Nie lubiła o tym mówić. Doktorat z fonetyki niejako nie pasował do gitarowego riffu, bluesowego zaśpiewu i gumowych zwierzątek.
Twarz gospodyni pulsowała wściekłością, światło latarki dodawało jej groźnosci.
— Koniec, tym razem koniec, do cholery — wysapała — jutro zbierać manatki i won. A teraz ucisz tę wariatkę, bo dzwonię po milicję.
— Koleżanka jest nerwowo chora, dostała ataku — tłumaczyłem niepotrzebnie.
— Dostę tego lajdactwa, ludzie po wyższych studiach, cholera, ucisz ją — pchnęła mnie w stronę pokoju.
— Już nie trzeba — burknąłem.
— Od jutra pan tu nie mieszka — do dała i zeszła po schodach falując gigantycznymi pośladkami.
— Choloła — dobiegło jeszcze z dołu. Agata zanosiła się histerycznym szlochem, Jan siedział obok. Trzęsącymi się palcami grzebał w pudełku zapalek.
— Co to było? — podałę ognia.
— Ma to po matce, zwariowanej kwoce. Coraz częściej...
— Ona ma dosyć, Janie.
— Czego?

Opowiadania

Jerzy zamówił herbatę. Syknął z bólu, kiedy zbyt gwałtownie oparł się o krzesło. „Inni noszą nadzieję w sercu, ja pod łopatką”. Pociągnął kilka łyków zle zaparzonej ekspresowej. „Jedyny ekspres na tej stacji” — pomyślał. Za okienkiem kasy mignęła postać dyżurnego ruchu. „Przez las pięć kilometrów...”

„Nie tracić tempa, o niczym innym nie myśleć”. Śnieg chrząścił równomiernie. Szedł potykając się, na pierwsze spotkanie z synem. Nie czuł zimna. Podśpiewywanie odbierało mu oddech. „Cholerne papierochy...”

„Leciał głową w dół, szorował twarz po zmarzniętym. Trzask łamanych gałęzi. Cisza. Płatki śniegu opadły delikatnie, chłodziły piekące policzki”. Weź się w garść. Tylko trochę odspanij. Już niedaleko. Ten dół nie jest głęboki”.

— Panie leśniczy, szybko. Tu ktoś leży.

— Niech to szlag trafi. Jeszcze tego nam brakowało.

Mężczyźni w kożuchach wytaszczyli bezwładny ciężar.

— Oddycha. Puls dosyć dobry, tylko go deczko przymroziło. Nie wygląda, by sobie coś złamał. Dalej chłopcy, heej raz, szybko do leśniczówki.

— Miał szczęście, skurczybyk — leśni czy rozcierał zgrabię ręce.

— Dajcie go bliżej ognia, o tak, w porządku. Musi się rozgrzać. Zaraz przyjdzie doktor, a ten na spacer się wybrał cholera Zapalenie płuc ma jak w banku. Jednuś, podnieść go trochę. Dobra. Przytrzymaj mu głowę.

Leśniczy wyjął z szafki butelkę żytniówki. Zbliżył się do Jerzego. Rozwarł mu szczękę i polał szczodrą do gardła.

— Łyknij se bracie. Dobrze ci zrobi.

Udawania, że nie udaje — chciałem powiedzieć, ale wolałem poklepać go po plecach i napelnić kieliszki. W godzinę później Agata spała, a my śmialiśmy się ze strachu.

— Żebyś widział, jak gruba się trzęsa — próbowałem to zademonstrować — a jak sapiała...
— Lokomotywa — zachichotał Jan.

— Parowa — wtórowałem.

Brask zamajaczył plakatami na ścianach. Spojrzałem na łóżko. Agata i Jan spali w objęciach czuwającego lęku.

Piec kłofowy i małżeńskie łóżko pozostały. Nie można ich było spieniężyć, zresztą były jeszcze potrzebne.

— Wszystko sprzedałeś? — rozglądałem się po pustym pokoju.

— Potrzebuje szmalu. Dostałem list od Agaty. Właśnie załatwia mi zaproszenie...

— Płyty... — mamrotałem osłupiały.

— Do diabła z nimi. Sam nam opowiadałeś jak wygląda sklep muzyczny w Londynie.

— Mówił dużo i szybko. Musiałem mu przypominać o czekającym cierpliwie kieliszku.

— Jeep, rozumiesz, zwykły wojskowy jeep...

Jeszcze na dworcu analizowałem cały plan. Pamiętam, jak mała na peronie, w zielonej parze, w sandałach, z chlebkiem na ramieniu. Uśmiechnięta twarz...

Nie przypominam sobie, kto mi o tym pierwszy powiedział. Agata zawiadomiła rodziców o ślubie z Anglikiem. Nasz wyrok brzmiał jednocześnie — zdradziła.

Jan dowiedział się od innych. Odwie dziliśmy go często. Siedział na łóżku milcząc. Bał się pić. Od czasu do czasu wy konywał ruch, jakby chciał sięgnąć po mandolinę. Zniknęła. Jak książki i pły ty. Gumowe zwierzątka — rozdał dzieciom.

Wstaje dzień. Trzaskanie drewna w piecu i pierwszy łyk kawy. Rodzi się ciepło i światło. Otvieram drzwiczki. Płomień grzeje mi twarz. List czernie je. Profil Elżbiety II zwija się z chrzątem. Za chwilę zadzwoni budzik. Muszę zrobić śniadanie i wyprawić syna do przedszkola.



Zespół Regionalny z Dąbrówki Wlkp.

Fot.: CZ. ŁUNIEWICZ

Sceny miłosne w literaturze pięknej

Craig przystanął przed „Carltonem” ale nie zgasił silnika. — Mam na gorze butelkę. Chce pani wejść? — Bardzo chętnie. — Zaparkował samochód, weszła do hotelu. W hallu na szczęście nie było nikogo. Nocny portier nauczył się za młodo nie zmieniać wyrazu twarzy, cokolwiek zobaczyłby w hallu. Kiedy przyszedł na górę, Gail zdołała deszczowy płaszcz i weszła do łazienki. Craig tymczasem nalewał whisky z sody. Z łazienki dobiegał miły, domowy plusk wody — stanowił barierę przeciw samotności. Po jej powrocie do pokoju zauważył, że się uczesała. Wyglądała świeżo i czysto, jak gdyby nie się jej nie przytrafiło tej nocy. Przepili do śniegu. Hotel był cichy, miasto spało. Usiedli naprzeciw siebie w szerokich, krytych brokatem fotelach. (..)

Zabrał od niej szklankę, podszedł do stołu, na którym stała butelka, nalał sobie i jej whisky z sodą.

— Dzięki — patrzyła na niego trzeźwo biorąc swoją szklankę. Pocałował ją lekko. Usta miała miękkie, zapraszające. — Niech pan da spokój — powiedziała ostro. Odstawiła szklankę, porwała płaszcz i pobiegła do drzwi.

— Gail... — zrobił krok ku niej. — Nieszczytny staruszkule! — krzyknęła otwierając drzwi i zatrząskując je za sobą.

Dopili powoli swoje whisky, zgasili światło i położyli się do łóżka. Leżał nagi w ciepłej ciemności, nasłuchiwał świstu kół samochodów na Croisette i szum morza uderzającego o brzeg. Nie mógł usnąć. Zbyt wiele rzeczy przydarzyło mu się tej nocy. Skronie pulsowały od wypitego alkoholu. Wydarzenia wieczoru przesunęły się w jego myślach jak w kalejdoskopie: Klein w aksamitnej marynarce przedstawia wszystkich wszystkim, Corelli i jego dwie dziewczyny, Green odjeżdżający się w rozpacz na kosztownym tawerniku, krew Reynoldsa...

I jeszcze gra... (czy to była gra?) Gail. Jej promienna młodość — stara zmysłowość. Zaprośzenie i kosć. Wspomnienie i żal na myśl o bujnej urodzinie Natalie Sorel, usiłował zapomnieć Davida Teichmanna, śmierć pod peruką z wytwórni filmowej.

Nie mógł uleżeć spokojnie. Bankiet Kleina przypominał gigantyczne przyjęcie wydawane przez przedsiębiorstwa na Boże Narodzenie. Tylko że przedsiębiorstwa nie wydawały takich bankietów dwa razy na tydzień.

Usłyszał ciche pukanie do drzwi, trochę się tego pukania spodziewał. Włożył szlafrok i otworzył drzwi. Na słabo oświetlonym korytarzu stała Gail.

— Proszę wejść — powiedział.

Zdawał sobie sprawę, że już jest dzień, że jeszcze się nie obudził całkowicie, że ktoś cicho odycha przy nim, że dzwoni telefon. Nie zmieniając pozycji, nie otwierając oczu sięgnął po słuchawkę, telefon stał na nocnym stoliku. Daleki głos na tle metalowego brzęczenia powiedział:

— Dzień dobry, kochany.

— Kto mówi? — ciągle nie otwierał oczu.

— Ile osób zwraca się do ciebie per kochany?

— pytał ciekli daleki głos.

— Przemasz, Constance. Twój głos brzmi jak z odległości miliona kilometrów. — Otworzył oczy, spojrzał za siebie. Długie brązowe włosy na poduszce. Gail patrzyła na niego poważnymi niebieskimi oczami. Przecieradło, którym ona była przykryta, zsunęło się z niego, miał ogromną erekcję. Nie pamiętał, żeby jego słowik kiedykolwiek przybrał takie rozmiary. Po konał śmieszny odruch, by chwycić przecieradło i przykryć się.

— Spisz jeszcze — mówiła Constance. Daleki, elektroniczny wyrzut wzdłuż dziesięciu kilometrów niedokładnego drutu telefonicznego. — Już po dziesiątej.

— Naprawdę? — spytał idiotycznie. Członek nabrzmiewał mu złowieszczo. Wyczuł utkwione w nim z sędziwej poduszki spojrzenie, jej ciało rysowało się pod przecieradłem, widział niekiedy drugie łóżko. Zalał, że wymówił imię Constance. — W tym momencie późno się wstaje — tłumaczył się. — Jak tam w Paryżu?

— Coraz gorzej. A u ciebie?

— Nic nowego — powiedział po namyśle.

Gail nie uśmiechnęła się, twarz jej nie drgnęła. Ciężar jej spojrzenia na obłędnie sterczącym penisie był prawie namacalny. W zlocistym rannym świetle członek wydawał się stałym, bezwystawnym rysem krajobrazu. Powoli, z namysłem wyciągnęła rękę i przesunęła palec od nasady do czubka rozpalonego organu, jakby coś sprawdzała. Wstrząsnął nim dreszcz jakby dotknął drutu wysokiego napięcia.

— Ludzie kochani! — szepnęła.

— Najpierw — mówił chybotały, mechaniczny, niemal nierozpoznawalny głos — chcę cię przeprosić...

— Zie się — rozpaczliwie starał się mówić spokojnie. — Odlóżmy słuchawkę, poprosimy o ponowne połączenie...

— Lepiej teraz? Słyszysz mnie? — Głos Constance zabrzmiął czysto i wyraźnie, jakby mówiła z tego hotelu lub sąsiedztwa.

— Tak — powiedział z zalem. Szukał w myśli wymówki, żeby móc przerwać rozmowę, ubrać się, przejść do drugiego pokoju i tam poczekać na drugie połączenie. Chwilowo jednak nie wazył się powiedzieć nic więcej poza monosylabami. — Mówiłam, że chcę cię przeprosić za to, że zachowałam się jak wiedźna podczas naszej ostatniej rozmowy. Znasz mnie przecież.

— Tak. — Nic się nie zmieniło u niego poniżej pasa.

— Dziękuję za pocztówkę i listki. To był ładny pomysł.

— Tak.

— Mam dobre wiadomości. Przynajmniej wydaje mi się, że uznasz je za dobre.

— Co? — Sprytnie zdołał się ukradkiem przykryć przecieradłem od pasa w dół. Ale przecieradło sterczało do góry jak namiot cyrkowy.

— Możliwe, że jutro lub pojutrze znajdę się niedaleko ciebie. W Marsylii.

— W Marsylii? — przez chwilę nie mógł sobie układować, gdzie jest Marsylia. — Dlaczego w Marsylii?

— Nie mogę powiedzieć przez telefon. — Jej nieufność do francuskich telefonów nie zmalała. — Jeśli sprawy tu się ułożą odpowiednio, przyjadę.

— Świetnie — powiedział myśląc o czymś innym.

— Co świetnie? — spytała politywana.

— To, że może się zobaczyć...

— Może? — zabrzmiało to złowieszczo.

Poczuł, że dziewczyna się poruszyła. Wstała i naga przeszła powoli do łazienki, cienia w pa-

cie, z perłowymi adami, nogi szczupłe, opalone. — Są komplikacje...

— To już druga rozmowa do kitu, przyjacielu.

— Moja córka Anne dziś przyjeżdża. — Był wdzięczny, że Gail wyszła z sypialni. Erekcja mu minęła, za to też był wdzięczny. — Wysłałem jej depechę, żeby przyjeżdżała.

— Jesteśmy wszyscy na łasce choleryjnej miodzieży. Zabierz ją do Marsylii. Każda dziewczyna powinna zobaczyć Marsylię.

— Muszę to omówić z nią — nie zareagował na „dziewicę” — Zadzwoń kiedy będziesz wiedziała na pewno. Może ty przyjechałabyś do Cannes — dodał nieszczerze.

Usłyszał plusk przysznica w łazience. Zastanowił się, czy Constance słyszy to w Paryżu.

— Nie znoszę Cannes. Tam zdecydowanie rozwinę się z pierwszym mężem. Ale jeśli to za wielka fatyga dla ciebie wsiąść do samochodu i przyjechać do kobiety, którą rzekomo kochasz...

— Nie wpadaj znów w szal. Nie wiesz nawet, czy pojedziesz do Marsylii...

— Ale chce, żebyś tego pragnął. Nie widziałeś mnie od tygodnia. Mogłabyś przynajmniej pragnąć, żeby przyjechała.

— Pragnę.

— Dowiedz tego.

— Przyjadę do ciebie gdzie i kiedy chcesz — powiedział głośno.

— To mi musi na razie wystarczyć — zachichotała. — Boże, mówisz tak, jakby ci wyrwali zęby. Jesteś zadowolony?

— Skacowany.

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

— Zadowolony?

BOLESŁAW II ŁYSY, zwany Rogatka, był najstarszym synem tragicznie zmarłego na polach legnickich w 1241 r. Henryka Pobożnego i Anny, córki króla czeskiego Przemysława Ottokara I. Miał liczne rodzeństwo: pięć siostr i czterech braci, przedwcześnie zmarłego Mieszka, Henryka III Białego, Konrada i Władysława. Urodził się prawdopodobnie między 1220 a 1225 rokiem. Samodzielne rządy objął w 1242 r. początkowo w całej dzielnicy wrocławskiej, zaś po jej podziale w 1248 r. tylko w legnickiej, którą to rządził, aż do śmierci tj. do 1278 roku. Poprzez swych synów Henryka i Bołka stał się proto-plastą Piastów legnicko-brzeskich i świdnicko-ziembickich.

Na tle swej epoki był Bolesław postacią barwną. Wiele miejsca poświęcił mu kroniki średniowieczne, choć zdecydowanie nie lubił go. Żaden bowiem z książąt polskich nie otrzymał tylu epitetów i przydomków. Trzynastowieczna „Kronika polska” nazywała go „Łysy” chcąc podkreślić w ten sposób cechę jego wyglądu zewnętrznego. „Rocznik Traski” nadał mu przydomek „Rogatka” co jak tłumaczy Długosz „w polskiej mowie oznacza człowieka zuchwałego i jakoby bodącego rogami”. Ponadto kronikarze nazywali go: „Dziwny”, „Srog”, „Okrutny” i „Cudaczny”. Nie były więc to przydomki pochlebne.

Również sylwetka Bolesława w relacjach kronikarskich przedstawiana była tylko w ciemnych barwach. I tak np. żyjący w tej samej epoce autor „Księgi henrykowskiej” pisał o nim „Książę Bolesław, syn zabitego przez pogan księcia Henryka... nie innego nie robił, tylko płał głupie figle”. Pochodząca zaś z XIV w. „Kronika książąt polskich” podawała, że Bolesław „był człowiekiem gwałtownym wobec innych, choć sam nie znosił gwałtu na swojej osobie. Ciągłe ubieganie się o rzeczy innych, zaś swoich strzegł bardzo pilnie. Umiął zło czynić, ale nie umiał zła znosić”. Także najwybitniejszy dziejopis polskiego średniowiecza — Jan Długosz — nie był przychylny dla Bolesława Łyszego obarczając go przede wszystkim odpowiedzialnością za utratę Ziemi Lubuskiej. W ocenie bilansującej postać księcia oraz jego działalność pisał „Gwałtownik względem własnych i obcych ludzi, był uwikłany aż do śmierci w ohydny młotek z namiętnością. Mówił tak niewyrażnie i pretko, że najczęściej budził u słuchaczy śmiech i urągania. Kręcił w czynach i obyczajach, pochłopy w wyrokowaniu bez rozważenia słuszności, szczególnie w sprawach sądowych...”. Tak ukształtowana ocena postaci Bolesława II Łyszego została przejęta przez historyków zarówno polskich jak i niemieckich. I niekiedy się zdarza, by oni nie byli tak jednomyślni jak w tej sprawie. Tylko dwaj historycy wrocławscy K. Maleczyński i R. Heck podjęli próbę odrobienia Bolesława. Niektóre z ich prace dotyczyły tylko niektórych sfer działalności księcia legnickiego. Brak natomiast do tej pory monografii, która oświetliłaby postać Bolesława po przez pryzmat całej jego działalności na tle epoki.

Znaczny wpływ na ukształtowanie się osobowości Bolesława miało jego wychowanie oraz doświadczenia z lat dzieciństwa. Rodzina bowiem Piastów śląskich w pocz. XIII w. przedstawiała dziwną mieszaninę wzorców osobowości i moralnych. Zony książąt Henryka Brodaty i Henryka Pobożnego, które zajmowały się wychowywaniem dzieci, popadły w skrajną dewocję. Dochodziło do tego, że swym sługąom kazali się publicznie chłostać, aż do krwi. Św. Jadwiga posunęła się w swej dewocji tak daleko, iż nakazała synowej Annie, by za jej przykładem przestała utrzymywać kontakty cielesne ze swym mężem. Młody Bolesław nie tylko przyglądał się tym dziwnym dla nas praktykom, ale musiał w niektórych z nich uczestniczyć. Znana jest scena obmywania twarzy Bolesławowi przez babkę i matkę w wodzie, w której uprzednio pluknęły nogi zakonnice. Przeciwnieństwem ideałów babki i matki było życie dalsza

i ojca Bołka. Całą energię poświęcali oni sprawom politycznym i wojnom w celu powiększenia swego terytorium i od budowy państwa polskiego. W swych poczynaniach byli konsekwentni, dlatego też nierzad dochodziło do drażliwych zatargów z ówczesnym duchowieństwem (nawet z papieżem) i innymi książętami. Dziwnie dualistyczne więc było to, z czym zetknął się nasz bohater w czasie swego dzieciństwa. Z

przygotować wyprawę zbrojną, lecz od tego zamiaru odciągnęła go ponoć babka Jadwiga, która miała mu powiedzieć „nie bądź przyczyną rozlewu bratniej krwi”. I choć Wielkopolski nigdy już nie odzyskał, przez długi czas rościł pretensje do tej dzielnicy, a do 1253 roku nosił tytuł księcia Śląska i Polski (tj. Wielkopolski).

Szybkie kurczenie się terytorium Henryków spowodowało, że również na

i zażądał od Bolesława wydzielania mu osobnej dzielnicy. Był to ogromny cios dla księcia. Podejrzał on jednak, iż motorem tych planów zmierzających do pozabawienia go jedynowładztwa był Henryk III. Nie czekając więc długo impulsywny Bolesław rozpoczął w początkach 1249 r. wojnę organizując w krótkim czasie aż trzy wyprawy. Walka bratobójcza była bezpardonowa i okrutna zarówno z jednej jak i z dru-

gą. Autor „Żywota św. Jadwigi” dorobił nawet apokaliptyczną wizję bałki Bolesława, która miała powiedzieć „błada, błada tobie Bolesławie jak wielkie nieszczęście przyniesiesz ty zemi swojej”.

Tak więc w polskiej tradycji historii graficznie stał się Bolesław Łysy, zwany Rogatką, symbolem tego, który przez kupczyń, ojcowiznę i otworzył drogę Niemcom do ekspansji w głąb ziem polskich.

Czy jednak zasłużył on na tak jednostronną ocenę. Z pewnością czynu jego nie można pochylać. Lecz należy pamiętać, iż to samo co on, zrobił jego brat, a podobne praktyki nie były czynnikiem odosobnionym w XIII-wiecznej dyplomacji polskiej. Istniejące bowiem konflikty między książętami dzielnicowymi powodowały, że szukali oni sprzymierzeńców i to nie tylko między Piastami, ale także wśród obcych władców. Przykładów takich w XIII-wiecznym materiale źródłowym można znaleźć, aż nadto.

Zakończenie wojny między Henrykiem a Bolesławem stało się rozpadem jednolitej monarchii Piastów śląskich. Konflikty i walki między braćmi trwały nadal. Ich skutkiem był rozpad jednolitej monarchii Henryków śląskich. Z takim stanem rzeczy Bolesław nie mógł pogodzić się do końca życia. Próbował więc na różne sposoby odzyskać od braci utracone terytoria, lecz to mu się nigdy nie udało. Melody, które przy tym stosował były takie same, jakie wobec niego stosowali jego przeciwnicy polityczni. Najpopularniejsze było wówczas podstępne uwięzienie lub schwytanie do niewoli.

Nie tylko konflikty z braćmi wypełniały długie życie syna Henryka Pobożnego. Podobnie jak jego dziadek i ojciec prowadził on spory z Kościołem. Ich przyczyną były dziesięciny, a także dążenie Kościoła do uzyskania od panującego pełnego immunitetu. Największym w swych rozmiarach był konflikt z biskupem wrocławskim Tomaszem I. Doszło nawet do tego, że Bolesław porwał w nocy 2. X. 1256 r. biskupa i jak wspomina „Kronika Wielkopolska” nie umiającego jeździć na koniu Tomasza zmuszono „by jechał na koniu klusem w samej koszuli i krótkich spodniach z innych szat zupełnie ogolony”. Za swój czyn musiał wrócić Bolesław srogo zapłacić. Konflikt ten jednak — nie jedyny zresztą między księciem a biskupem w dziejach XIII-wiecznego Śląska — rzuca światło na ówczesne stosunki kościelno-państwowe dzielnicy Władysława II.

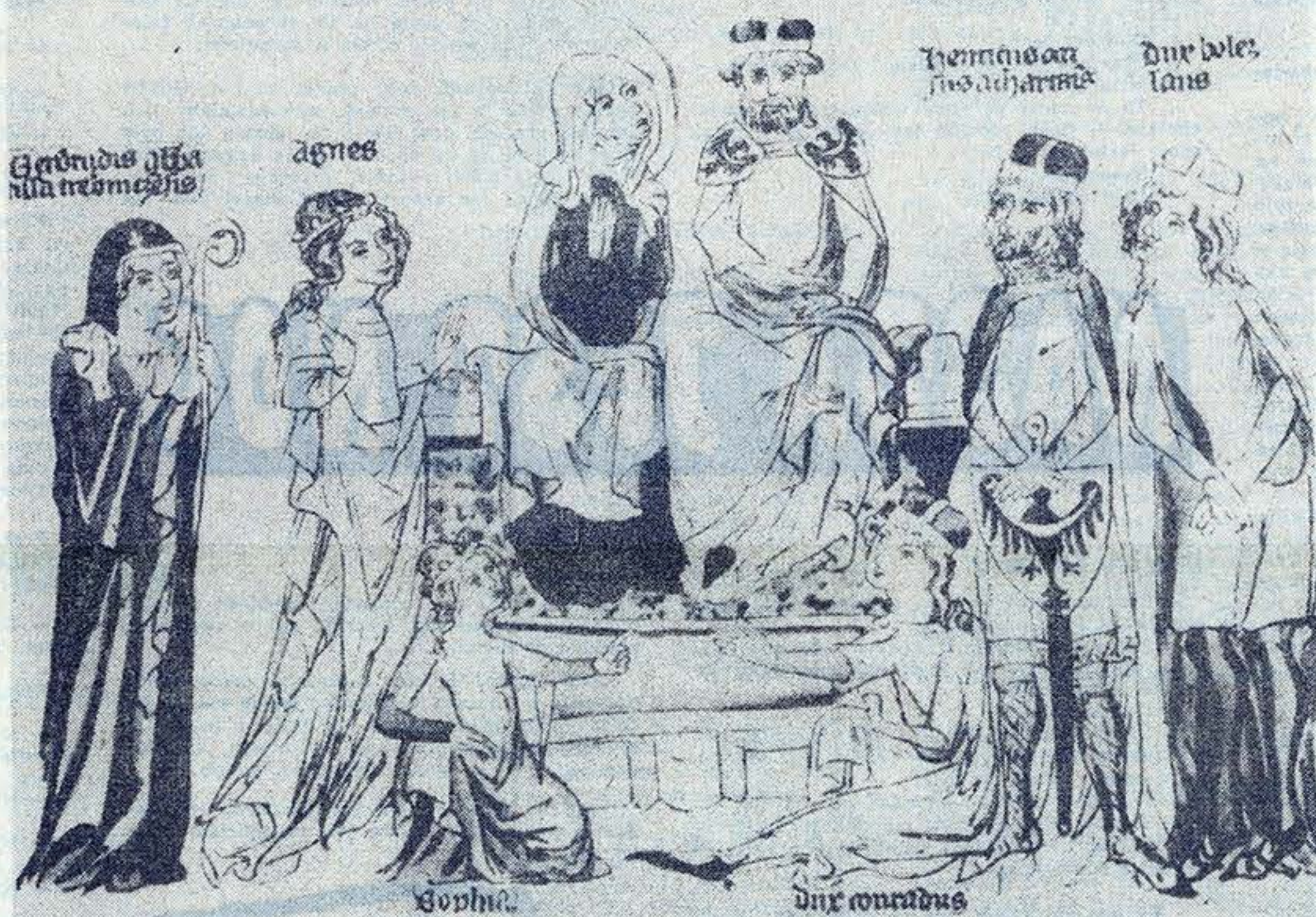
Niewiele uwagi poświęcono do tej pory działalności gospodarczej Bolesława Łyszego. Jeśli już poruszano tę kwestię, nazywano go najczęściej „stym gospodarnym” lub „rozrzućnikiem ziemi”. Taka ocena jest zbyt przekraczająca. Analiza materiału źródłowego dostarcza bowiem wprost przeciwnych danych.

Negatywnie oceniano również życie małżeńskie Bolesława. Jego pierwszą żoną była Jadwiga, córka hrabiego Anhaltu. Babka księcia miała ponoć powiedzieć „iż od męża wypadnie jej wycierpieć wiele zła”. Dziś trudno jednoznacznie odpowiedzieć ze względu na brak materiału źródłowego jak w ogóle jego pierwsze małżeństwo. Wiadomo tylko, że Bolesław żył z Jadwigą do jej śmierci, a owocem ich miłości było ośmioro dzieci. Znacznie gorzej układały się natomiast stosunki Bolesława z jego drugą żoną Eufemią Adelejdą — córką księcia pomorskiego Sambora II.

Wydała się więc, iż do tej pory patrzono na postać Bolesława Łyszego zbyt jednostronnie ukazując ją niejako w krzywym zwierciadle — głównie po przez pryzmat utraty Ziemi Lubuskiej. Co prawda postać księcia nie przesłania się jako jednostka wyjątkowa, nie odbiegała jednak od innych XIII-wiecznych książąt polskich. Należy podkreślić, iż na ukształtowanie oceny Bolesława II Łyszego nie miały wpływu wywarły średniowieczni dziejopisowcy. Za nimi poszły historycy. Przypisywano bowiem każdemu wiele cnot i przede wszystkim czynów, których nie popełnił.

On utracił Ziemię Lubuską

Włodzimierz Szkudlarek



Św. Jadwiga i Henryk Brodaty z rodziną. Wg. miniatury z „Legendy o św. Jadwidze”

Fot.: MAREK WOŹNIAK

jednej strony widział bowiem wielką pobożność i programowo głoszone hasła miłości, z drugiej zaś twardą orszaką i brutalną walkę polityczną. Tędy doświadczenia nie wpłynęły zapewne na pełną krystalizację osobowości Bolesława, który zbyt wcześnie musiał objąć rządy po tragicznej śmierci swego ojca. Nastąpiło to w 1242 r. Bolesław mógł mieć wówczas najwyżej 14 lat.

W rękach tego młodego księcia znalazło się rozległe i niejednolite pod względem politycznym terytorium. Obejmowało ono Śląsk z Ziemią Lubuską, Wielkopolskę, ziemię opolską, krakowską i sandomierską. Szybko jednak posiadłość Bolesława zaczęła się kurczyć. Najkrócej zaś trwała jego władza w Małopolsce. Tamtejsze możnowładztwo wraz z wojewodą Klemensem poparło bowiem nowego kandydata do tronu krakowskiego Bolesława Wstydliwego.

W krótkim czasie odłączyła się od Bolesława również Wielkopolska. Wśród wielu przyczyn, które doprowadziły do odpadnięcia tej dzielnicy, najistotniejszą było przywiązanie rycerstwa i miejscowego możnowładztwa do własnej linii piastowskiej reprezentowanej przez synów Władysława Odonicza — Przemysława I i Bolesława Pobożnego. Bolesław II nie zrezygnował jednak od razu z odzyskania Wielkopolski. Próbował

Śląską utworzyła się opozycja przeciwko Bolesławowi Łysemu. Na jej czele stanął prawdopodobnie jego młodszy brat Henryk III, który domagał się wydzielenia mu osobnego księstwa. Kiedy Bolesław nie chciał się na to zgodzić, wówczas go uwięziono (1247 r.). Ceną odzyskania wolności było dopuszczenie brata do współrządów. Nie były one jednak zbyt długie. Już bowiem w pol. 1248 r. doszło do inicjatywy księżnej Anny i biskupa wrocławskiego Tomasza I, do podziału Śląska Dolnego na dwie dzielnice. Po wielu targach i zamianach w końcu Henryk III Biały otrzymał dzielnicę wrocławską, zaś Bolesław II Łysy dzielnicę legnicką wraz z Głogowem i Ziemią Lubuską. Była to ziemia zasobna i bogata — szczególnie w miedź. W jej skład wchodziły także liczne miasta: Legnica, Głogów, Wołów, Wińsko, Wasowice, Góra, Ścinawa, Lubiąż, Sprotawa, Zagan, Zielona Góra, Krośnice, Chojnow, Bolesławice, Złotoryja, Lwówek, Gryfów, Jelenia Góra, Kamienna Góra oraz Jawor.

Nie dane było jednak naszemu bohaterowi długo cieszyć się ze swojej nowej ziemi. Do walki o domową Piastów włączył się bowiem kolejny z braci — Konrad. Przeszacowany do kariery duchownej nie przysjał ofiarowywanego mu biskupstwa, zrzucił szaty duchowne

głej strony. I tak np. podczas pierwszej wyprawy Bolesław spłądował Srogo Śląską. Dopuszczał się także karygodnego czynu — spalania kościoła, w którym znajdowało się około 500 ludzi. Podczas innej z kolei eskapady został schwytany przez rycerzy swego brata, doprowadzony do Wrocławia i tam uwięziony.

Najtragicznym momentem walk bratobójczych było to, że nie mając pieniędzy na dalsze prowadzenie wojen za cześć oni szukali obcych sprzymierzeńców. Henryk III zawarł układ w Miśni z tamtejszym margrabią Henrykiem Do stojnym. W zamian za pomoc przeciwko bratu zaoferował mu do wyboru Ziemię kroszeńską albo ziemię między Kwisą a Bobrem a ponadto gród Szydłowiec. Identyfikując postać Bolesława, który zwrócił się o wsparcie najpierw do arcybiskupa Wilbranda, później zaś do margrabiów brandenburskich Jana I i Ottona III, oferując im za udzielenie pomocy — a nie sprzedając! — Ziemię Lubuską. Bardziej pomyślna okazała się transakcja Henryka III, który utracił tylko gród Szydłowiec. Bolesław zaś na zawsze stracił Lubusz, powszechnie uważany w XIII w. za „klucze królestwa polskiego”. Za swój nieprzemysłowy a może i nieco pochłopy krok doczekał się książę ostrze krytyki zarówno przez historyków, jak i

Gdzie te chłopcy?

ciąg dalszy ze str. 2

racyjna, w niej osiem dorodnie wyglądających pań w różnym wieku. Pierwsza z prawej, najładniejsza, jest fotomodelką. Wszystkie bardzo atrakcyjne, otaczają wianuszkami swego dobroczyńcę dr. Bibera.

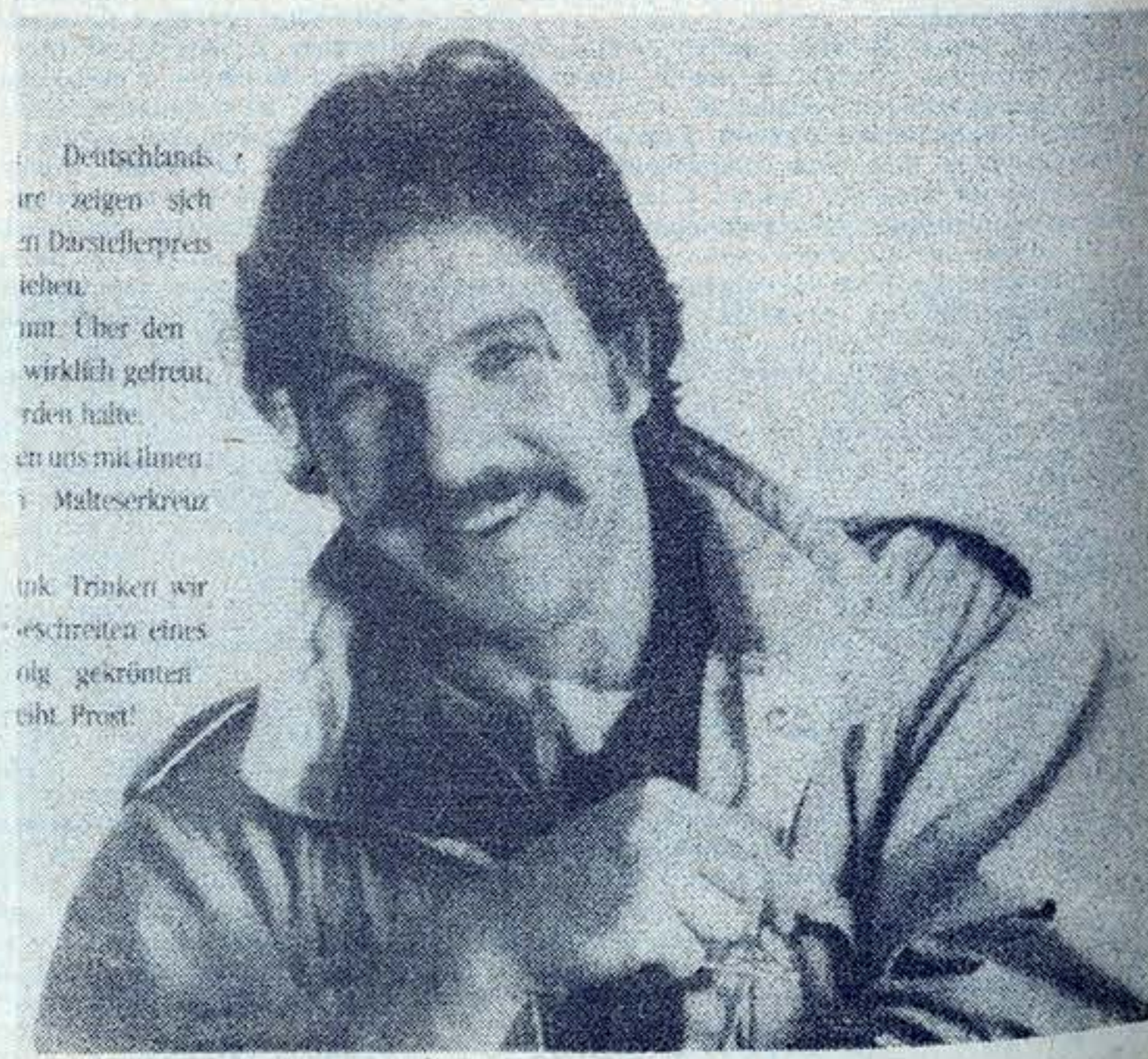
Zdaniem doktora zabieg chirurgiczny jest przyszłościową kropką nad „i”, końcowym akordem symfonii... Jest ważny, podobnie, jak poprzedzające operację długotrwałe leczenie. Ale pierwszą i najważniejszą sprawą jest predyspozycja psychiczna pacjenta. Mężczyzna, który wobec świata chce uchodzić za kobietę, ma psychikę kobiety i należy pomóc mu w przestawieniu się. Tak uważa pięćdziesięciosześcioletni dziś doktor z Trynidadu, który o dziwo, swoje zadanie, nieobojętne przecież dla ogólnego stanu zdrowia człowieka operacyjnego, wykonuje sam, bez pomocy innych lekarzy, jedynie z pomocą doświadczonych pielęgniarek. — Czy jest to możliwe? — zastanawiają się niektórzy.

Światem od wieków rządził mężczyźni. To na ich barkach przede wszystkim spoczywały losy państw i narodów, okresy wojen i pokoju. Oni rozgrywały najważniejsze kwestie, oni wiodą prym w polityce, przemyśle, handlu, organizacji i w nauce. Emancypacja, feminizacja — owszem. Ale wśród przywódców wszelkiego rodzaju, szefów, dyrektorów, prezesów nie ma zbyt wiele kobiet. Tak uważa tygodnik „Bunte”.

Ciężar odpowiedzialności nagromadzony przez stulecia? Wspomniane wyżej leki, fobie i stresy cywilizacji? Nadmierna ekspansja kobiet? Może zbyt wiele wymagamy od naszych pań? Co sprawia, że odchodzą, uciekają, wywołują się — zmęczeniem, zniechęceniem? Zbyt wcześnie zasypiają i zbyt

wczesnie się budzą? Czy ten proces, zdaniem niektórych, prowadzi powolutku, zaskakując od sypialni, do epoki matriarchatu...

Ciekawe spojrzenie na te sprawy ma Amerykanka Erica Jong. Jest pisarką i dziennikarką, studiowała psychologię, interesuje się seksuologią. Uważa ona, że kobiety, wobec nie zawsze zrozumiałej rejterady mężczyzn, same są w strachu i popadają w nowy konserwatyzm. Pani Jong nazywa to „kompleksem księżniczki Diany”. Znaczący to: będą grzeczna, posłuszna, powolna, urodzą dużo dzieci, zrobią na drutach dużo skarpet, będą się uśmiechać, odchudzać, chodzić do fryzjera itp. Kompleks ten, zdaniem pani Jong jest niebezpieczny i należy z nim walczyć. Skoro zniewieściła już mężczyźni, gdy jeszcze „zniewieścią” kobiety, to kto zostanie — do działania, inicjatywy, rządzenia i rozczaniania węzłów gordyjskich? No kto...?



Bardzo, bardzo miśki George George...

Ludzie i szympansy

Postanowiłem wybrać się do ZOO. Nie żeby specjalnie przepadał za zwierzętami, mam do nich stosunek ambiwalentny. Jesteśmy typowym wytworem współczesnego miasta, nie czujemy się do brzo na łonie przyrody, wśród much i komarów, nie wydaje okrzyków na widok lasów i jezior; żyjemy się dymem papierosowym, podglądaniem i podgluchiowaniem bliźnich i co miesiąc cieszymy się z biletem Narodowego Banku Polskiego. Powodem do odwiedzenia zoo stał się 6789 program państwa Gucwinski, przy którym dostaliśmy ataku epilepsji oraz raport z warszawskiego ZOO zamieszczony w „Polityce”, w którym to raporcie autorka donosi o podtrzymywanych zwierzętach i wykradanym w celach konsumpcyjnych płaciwie.

Na wycieczkę namówił mego kumpla, Zdzicha. Powiedział mi: Wyglądasz Zdzichu jak obywatel Stroszek z filmu-Herzoga pod takim samym tytułem, pojedziesz ze mną do zoo, odwiedź najbliższych. Zdzichu nie oponował. Kupiliśmy prowiant, tzn. torbę „złotej jedenastki”, po której niczym po cykucie zaniemieliśmy brazylijski napój Sokrates i ruszyliśmy w drogę.

W ZOO zastaliśmy istną nawałnicę zwiedzających: koźmiar, zakonnic, Muzyków — jednym słowem cały przekrój naszego społeczeństwa. Zdzichu natychmiast zaczął ciągnąć w kierunku małp. Wyzwałem go od Amerykanów, którzy wszystko zwiedzają byle jak i byle szybko. Zaczęliśmy od pieca, czyli od kucyków. Zwierzęta te niedorozumie nie gęły z zadartymi ogonami i jednym słowem zachowywały się dość kokieterijnie — nie dziwne, że tak często są gwałcone. Kangur w ogóle nie chciał się odwrócić do nas frontem i zachowywał się tak, jakby posiadał wielkość akcji firmy Harper. Dość szybko zwierzęta mnie znudziły. Zająłem się obserwacją zwiedzających. Koło klatki

z tygrysem bengalskim stał rozkoszny grubas z mamusią i próbował zmusić do ryku zobojętniając zwierzę. Oczami duszy widziałem jak klatka się otwiera i tygrys zagarnia rozbowionego grubasa do swojej smierdzącej klatki.

Najgorzej mają zwierzęta umieszczone w terrariach. Odwiecznym zwyczajem mają one swój czas na sen (przeważnie w dzień) i czas na polowanie. Dwunożnych mało obchodzi ten boży porządek; przecież zapłacili! Postukują w szklane szybki, pokrzykują, ażeby zwierzęta łypnie zaspanym okiem, co powoduje erupcję radości. Niezrozumiałym wydał mi się obyczaj obrzucania aligatorów drobnymi monetami (co jeszcze dziwniejsze obyczajem w innych zoo). Zdzichu natychmiast wyjął, że to na intencję porażenia Tary-Stefanii w 56 odcinku serialu. Dose późno zorientowałem się, że jestem manipulowany. Przez cały czas Zdzichu ciągnął mnie za rękę i przyspieszał kroku. Wreszcie zrozumiałem. Oczym naszym ukazał się tłum ludzi. Ludzie wrzeszczał, tupali, śmiały się, robili głupie miny, a za przętami klatki kilka szympanów robiło to samo. Rozróżnić nie widziałem od aktorów było niemożliwością. Zdzichu długo stał z rozdziawioną paszczą i nerwowo gmerał w moich włosach. Na szczęście moje okupienie trwało krótko. Dałem Zdzichowi po łapach i w panicznej ucieczce odciągnąłem go od klatki. ZOO mieliśmy właściwie już zaliczone — Gucwinski jakos pokazać nie chciał. Udał się na zasłużony posiłek. Stare wygi, ale daliśmy się zwieść nazwie restauracji, a brzmiała ona „Przodownik”, co może omamiać każdego obywatela miłującego pracę. „Przodownik” okazał się jedną z najbardziej zapłutych i smierdzących knajp jakie znałem. Zdzichu natychmiast zaczął teoretyzować. Opowie dział, jak to w barze pod kuszającą nazwą „Zaczisze” rozbili mu głowę kul-

lem, i jak to nasze nazewnictwo, a i oficjalne zachowanie ma się do tego co się dzieje przed klatką z szympanami. Zdzichu jednak jest mądrzejszym facetem, aniżeli sugeruje to jego wygląd. Przez moment wydało mi się, że nad smierdzącym mielonem siedzi nie on, ale Darwin i Konrad Lorentz w jednej osobie. Wygłosił referat o przedziśnieniu prawidłowych ludzkich zachowań wśród mieszkańców Europy Środkowej i była w tym wielka uczoność Hegla w połączeniu z jasnością wykładu Dittfurtha. Kolejnym przykładem jakim się posłużył był koszący łot Młodzieżowej Społdzielni Pracy „Deficyt”, który to łot przerwany został brutalną ingerencją organów kontrolnych. Okazało się, że spółdzielnia wbrew deklaratywnemu w szyldzie programowi wykazuje olbrzymią superację i nie trzymała jej hektolitry wódki wypite z inspektorami nadzoru i księgowymi różnych przedsiębiorstw. „Deficyt” równa naciągali samorządne przedsiębiorstwa państwowe przedkładając zawiżone kołszory powykonalce. Inna historia z zakresu przedziśnienia zdarzyła się w Nowej Soli: ni z tego ni z owego przyniknięto punkt malej gastronomii przy ulicy Kościuszki, który przynosił miastu i gminie ponad dwa miliony w postaci podatków. Dwie osoby zatrudnione w tamtejszym punkcie z dnia na dzień znalazły się na lodzie, przy tym w kraju miłującym pisemka z pieczętami przywaciarze ci nie otrzymali żadnej decyzji. Za to po pewnym czasie z tego samego punktu, w którym wymyślono zamknięcie interesu otrzymali piśmko żądające określenia dni urlopowych przez parę sprzedawców bez pracy. Zdzichu wreszcie ucieknę podsumował, że jeżdżenie do ZOO w celu obserwowania małp jest zbędnym trudem — wystarczy własne podwórko.

PIOTR PIOTROWSKI

McRGINA4KI

CO SIĘ KOMU PALI? Ryszard Gledziński w sposób niebanalny opisuje w „Faktach” (nr 26) pracę naszych dzielnych strażaków. Opis przytłaczany frywolnie „Pozar w majtkach” tak się oto rozpoczyna: „Najbardziej tatusiopalne są narządy płciowe i miejsca, gdzie płeć traci swą szlachetną nazwę. Próbowaliśmy szukać danych na ten temat w rocznikach statystycznych. Wystarczy jednak spędzić kilkanaście godzin w Rejonowym Stanowisku Kierowania Straży Pożarnej w Bydgoszczy, by samodzielnie nie dojść do tego odkrywczego wniosku”. Istotnie. Dotychczas bowiem seks kojarzył się nam raczej z pożarem uczuć.

GORZEJ. W „Zyciu Literackim” (nr 29) Bogumił Drozdowski w felietonie „Pierwszeństwo przejazdu” pisze m. in. „Damy sobie radę bez zakazów, nakazów i informacji. Ale nie możemy sobie dać rady z informacją niepełną, a więc fałszywą. W sygnalizatorach świetlnych żarówka pali się, albo nie, to jeszcze można wytrzymać. Gorzej, jeśli jedne się palą, a inne nie”. Co prawda, nie widzieliśmy jeszcze płonących żarówek, ale w Krakowie być może one nigdy nie świecą?

WYZNANIA PANI HOLLAND. Autorka filmu „Aktorki prowincjonalne”, przebywająca na Zachodzie, która trzy lata temu w paryskich „Zeszytach Literackich” opublikowała paszkwil na rodzinny kraj, tym razem w rozmowie z Tomaszem Zalewskim („Tygodnik Powszechny” nr 29) na pytanie: „Czy nie uważasz, że powinnaś ro-

bić filmy w kraju? — odpowiada: „— Oczywiście, że tak... Kiedy ktoś emigruje i zdobywa pozycję, zaczyna się częściej taki mechanizm psychologiczny, że człowiek potępia to wszystko, co nie jest zgodne z jego wyborem, gdyż żyłby sobie, aby rzeczywistość udawała niata słuszność jego wyboru. Ja się przed tym bronię, wydaje mi się, że z powodzeniem i jeżeli słyszę, że ktoś w Polsce robi film i to jeszcze dobry, ciekawy film, to się cieszę, szczególnie jak to są moi przyjaciele. Dlatego nie wdaję mi się, żeby postawa bojkotu wobec oficjalnej kultury filmowej była słuszną, mądrą i dobrą i myślę, że można i należy robić w kraju filmy, zwłaszcza dlatego, że da się je robić. A czy ja się tam widzę w tej chwili? Nie, nie widzę się w ogóle, z wielu powodów. Mnie dzy innymi dlatego, że podjąłem pewne decyzje, dokonałem pewnych wyborów, powiedziałam to, co powiedziałam i bardzo trudno byłoby mi wrócić do sposobu bycia i wypowiadania się, jaki panuje w kraju. Być może sytuacja się poprawi i znajdzie się jakiś consensus w ciągu najbliższych lat. (...) Ale, jak dotychczas, uważam, że jest to pewien rozdział zamknięty i jeśli uda mi się wrócić do Polski, żeby tam robić filmy — co byłoby fantastyczne — to już będą jakby inne filmy, bo i sytuacja będzie inna.” I wówczas Agnieszka Holland wjeżdża do kraju na białym rumaku.

FUCHA, CZYLI KTO GDZIE PRACUJE. Sławomir Sikorski na łamach „Rzeczowości” nr 29 zajął się w publikacji pt. „Fucha” dodatkowymi zarobkami Polaków, podając liczne konkretne przykłady. Swoją tekst kończy następująco: „Jak Polska długa i szeroka, każdy kto może, stara się podjąć pracę na lewo, złapać fuchę, partanię. Mam opinię narodu pracowitego na kontraktach zagranicznych, nie zaś w kraju,

rzetelnego w robocie na lewo, ale nie w swoich zakładach. A gdzie odpoczywamy? W pracy, po prostu w pracy, mówili mi moi rozmówcy.” Otóż to uogólnienie jest zbyt pochopne. Autorowi mogłoby zareplikować ludzie, którzy nie tylko solidnie pracują w ustalonych godzinach, lecz również dobrze wykonują swoją pracę w godzinach dodatkowych, w tzw. zespołach rytmicznych, wspomagających produkcję fabryczną i portfelu robotniczego.

POWRÓT PIĘTASZKA. Ku naszej radości Anna Biazucka w felietonowym cyklu „Pieśń i charakter” („Rzeczowości” nr 29) powróciła do swego ukochanego Piętaszka, zastanawiając się jednako w szerszym kontekście nad seksem, erotyką i uczuciem miłości. Po opisie swych indywidualnych przeżyć autorka konstatuje: „Warto więc poznać sztukę miłości, podobnie jak już pogodził się z tym, że warto poznać sztukę seksu. Wiele większych lub mniejszych katastrof uczuciowych bierze się nie stąd, że między dwógiem ludzi wygasła nagle i doszczętnie miłość, lecz stąd, że za mało przy niej myśleli, że nie oświeciła ich myśl, że jest ona sztuką. Zgoda? Zgoda. Rodzi się teraz problem, kto i w jaki sposób ma owej sztuki uczyć? Ponieważ p. Biazucka nie czuje się w tej materii dość kompetentna, powołuje „Klub Myślicy Kochanków”. Jako pierwsze zgłaszają się „Marginalni”.

JURJI KOCH W GNIEZNIU. Jak dowiadujemy się z numeru 29 „Nowego Casnika”, organu Domowiny z Chocibuzą, w Teatrze im. Aleksandra Fredry w Gnieźnie została wystawiona sztuka wybitnego łubuskiego pisarza, Jurji Kocha. Informację tę podpisał Barbara Małysz, redaktorka z Zielonej Góry. Odnosząc się z satysfakcją do wydarzenia, zastanawiamy się zarazem, w jakim organie (prasowym) pracuje red. B. Małysz.

terenów działają w Göteborgu, następnie w Malmö, Helsinkach, Norrköping i Borås, później także w Sundsvall oraz w Umeå. W 1919 r. liczba członków wynosiła już 1600. W ciągu następnych dwudziestu lat obserwujemy zmniejszenie ilości członków. W 1930 r. liczy ono 1250 osób. Dopiero od 1940 r. datuje się systematyczny wzrost. W 1950 r. Stowarzyszenie liczy już 3000, a w 1970 ponad 9000 członków. W 1958 r. Stowarzyszenie zmienia nazwę na „Sveriges Filatelistförbund” (Związek Szwedzkich Filatelistów). Do Związku napływają zbieracze skupieni w różnych organizacjach tematycznego zbieractwa. W 1980 r. Związek legitymuje się 136 organizacjami terenowymi skupiającymi ponad 10.000 członków.

Związek od swego powstania główną uwagę koncentruje na ochronie interesów swych członków, a więc na walce z fałszerstwami. Co roku wydawana jest „Czarna Księga” zawierająca szczegółowe dotyczące fałszerstw i obserwacji zmniejszenia ilości członków. W 1930 r. liczy ono 1250 osób. Dopiero od 1940 r. datuje się systematyczny wzrost. W 1950 r. Stowarzyszenie liczy już 3000, a w 1970 ponad 9000 członków. W 1958 r. Stowarzyszenie zmienia nazwę na „Sveriges Filatelistförbund” (Związek Szwedzkich Filatelistów). Do Związku napływają zbieracze skupieni w różnych organizacjach tematycznego zbieractwa. W 1980 r. Związek legitymuje się 136 organizacjami terenowymi skupiającymi ponad 10.000 członków.

Związek od swego powstania główną uwagę koncentruje na ochronie interesów swych członków, a więc na walce z fałszerstwami. Co roku wydawana jest „Czarna Księga” zawierająca szczegółowe dotyczące fałszerstw i obserwacji zmniejszenia ilości członków. W 1930 r. liczy ono 1250 osób. Dopiero od 1940 r. datuje się systematyczny wzrost. W 1950 r. Stowarzyszenie liczy już 3000, a w 1970 ponad 9000 członków. W 1958 r. Stowarzyszenie zmienia nazwę na „Sveriges Filatelistförbund” (Związek Szwedzkich Filatelistów). Do Związku napływają zbieracze skupieni w różnych organizacjach tematycznego zbieractwa. W 1980 r. Związek legitymuje się 136 organizacjami terenowymi skupiającymi ponad 10.000 członków.

udziału szwedzkich filatelistów. Dopiero w 1905 r. podjęto ponownie inicjatywę integracji. Do Stokholmu zaproszono zbieraczy z Danii, Norwegii i Finlandii. Ale kryzys polityczny nie sprzyjał tym szaleniom i wujem zmniejszenie ilości członków. W 1930 r. liczy ono 1250 osób. Dopiero od 1940 r. datuje się systematyczny wzrost. W 1950 r. Stowarzyszenie liczy już 3000, a w 1970 ponad 9000 członków. W 1958 r. Stowarzyszenie zmienia nazwę na „Sveriges Filatelistförbund” (Związek Szwedzkich Filatelistów). Do Związku napływają zbieracze skupieni w różnych organizacjach tematycznego zbieractwa. W 1980 r. Związek legitymuje się 136 organizacjami terenowymi skupiającymi ponad 10.000 członków.

Do najważniejszych zadań Związku należało zawsze wystawienie. W kraju odbywały się liczne lokalne wystawy i pokazy, wielu szwedzkich zbieraczy prezentowało swoje eksponaty na wystawach międzynarodowych. Pierwszą ogólnoszwedzką wystawą odbyła się w 1926 r. W 1935 r. pierwsza światowa wystawa filatelistyczna „Stockholmia”, w 1974 r. następna, a obecna jest trzecia.

Zwycięza złączyli filatelistów szwedzkich i polskich. Coraz częściej goszczą nasze zbory na wystawach w Szwecji a szwedzkie w Polsce powraca idea międzynarodowych wystaw filatelistycznych państw nadbałtyckich „Baltex”.

GORZÓW. Co roku w przeddzień Święta Odrodzenia wręczane są Nagrody Gorzowskie za osiągnięcia w pracy zawodowej i działalności społecznej. W tym roku laureatami indywidualnych nagród zostali: prof. dr hab. Jerzy Gaj, prektor poznańskiej Akademii Wychowania Fizycznego, kierujący Wydziałem Zamiejscowym w Gorzowie — za całokształt dorobku naukowego i aktywności społecznej; Edward Korban, dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Gorzowie — za wieloletnią działalność społeczno-kulturalną; dr Stanisław Talarczyk, przewodniczący Rady Narodowej Miasta i Gminy w Drezdenku, wiceprezes Nadnoteckiego Towarzystwa Kultury — za długoletnią działalność społeczno-kulturalną. Nagrodę zbiorową Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Gorzowie przyznało Alicji Kaźmierczak, dyrektor Gminnej Szkoły Zbiorowej w Smogorach i Edwardowi Leskowskemu, kierownikowi zakładu Rolnego w Smogorach — za wkład w rozwój gorzowskiej oświaty.

W 1975 r., w chwili tworzenia województwa gorzowskiego, nad Wartą mieszkało 18 artystów plastyków. Dziś w woj. gorzowskim mieszka ich 45, a 44 posiada pracownię. Nie byłoby tego, gdyby nie zapobiegliwość władz kulturalnych miasta i województwa, ale i spójność i determinacja, która w wysokich budynkach wygospodarowała pomieszczenia na pracownię. Plastycy w Gorzowskim posiadają salony wystawowe, korzystają z pośrednictwa Pracowni Sztuk Plastycznych i innych przedsiębiorstw, lecz tak naprawdę w Gorzowie nie odczuwa się ich obecności.

W województwie gorzowskim mieszka 6 pisarzy, pozostali w Barlinku, Choszczynie i Deszczu Literatów Polskich (3 w Gorzowie, pozostali w Barlinku, Choszczynie i Deszczu) związanych organizacyjnie z oddziałami ZLP w Poznaniu, Szczecinie i Zielonej Górze. Przy Gorzowskim Towarzystwie Kultury istnieje Klub Literacki, skupiający blisko 20 osób, autorów samodzielnich publikacji książkowych. Aktywne są gorzowskie Robotnicze Stowarzyszenia Twórców Kultury, a także oddział Stowarzyszenia Autorów Polskich.

ZIELONA GÓRA. Jesienią tego roku zielonogórski Oddział Związku Literatów Polskich będzie obchodził swoje czterdzieste. Należy do niego 12 członków i 3 kandydatów. Z okazji jubileuszu odznaczenia państwowe otrzymali: Michał Kaźmierczak, prozaik, esejista, krytyk literacki — Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski; Zbigniew Ryndak, prozaik, felietonista i publicysta — Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

Każdego roku wojewoda zielonogórski przyznaje stypendia twórcze. W tym roku otrzymali je: Adam Baginski, Irena Bierwaczek-Polak, Bożena Caidler-Gruszkiewicz, Stefan Shocki, artyści plastycy z Zielonej Góry, Adam Falkiewicz — artysta plastyk z Lubrzy, dr Włodzisław Kwasniewicz — historyk broniowni, dyrektor Lubuskiego Muzeum Wojskowego w Drzonowie, Kazimierz Malicki — literat z Zielonej Góry, członek Stowarzyszenia Autorów Polskich i Czesław Sobkowiak — poeta, członek Związku Literatów Polskich i Zawady koło Zielonej Góry.

W Lubuskim Towarzystwie Kultury przygotowano do druku serię książeczek przeznaczonych przede wszystkim dla młodzieży szkolnej, pragnącej poznać przeszłość i teraźniejszość Ziemi Lubuskiej. Publikacje wyróżniające się ciekawą szatą graficzną projektu Agaty Buchalik-Drzyży, będą się ukazywały systematycznie raz w kwartale. Jako pierwsza w ramach tej serii pt. „Skarb Lubuski” ukazuje się broszura doc. dr hab. Władysława Korczy dotycząca początków Ziemi Lubuskiej. W czwartym kwartale LTK wyda informator: „Literaci środkowego Nadodrza”, a w przyszłym roku — o Janie Cichym i roli społecznego ruchu regionalnego. W przygotowaniu kolejne tomiki historyczne, opracowywane głównie przez naukowców z Wyższej Szkoły Pedagogicznej.

LAUREACI. W Festiwalu Inter-Hie w Middlesborough w Wielkiej Brytanii uczestniczył Chór Akademicki „Cantores” zielonogórskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Kantory zielonogórscy zdobyli trzecie miejsce, zaś dyrygent Jerzy Markiewicz otrzymał wyróżnienie. Chór WSP przeżył udziału w festiwalu prezentował się publiczności angielskiej podczas koncertów organizowanych w różnych salach.

W Kielcach zakończył się coroczny Harcerski Festiwal Kultury Młodzieży Szkolnej. Uczestniczące w imprezie zespoły lubuskie wróciły z nagrodami, zresztą jak każdego roku. „Złota Jodla” otrzymała Młodzieżowa Orkiestra Dęta Zespołu Szkół Elektrycznych w Nowej Soli, prowadzona przez Jana Gabrylskiego. „Srebrne Jodły” przypadły w udziale: „Wiołinkom” ze Szkoły Podstawowej nr 7 w Zaganiu (kierownik Grażyna Korotyńska), teatrykowi „Pinokio” z Miejsko-Gminnego Ośrodka Kultury w Iłowej Zaganiejskiej (kierownik Irena Burzawa) i Teatrowi Żywego Planu „Bajdurki” z Kamionnej w województwie gorzowskim. Z turniej zagranicznych powrócili również zespoły pieśni i tańca — „Gorzowiancy” i „Maki” z Zielonej Góry.

ZAPROSILI NAS: Okręgowe Przedsiębiorstwo Rozpoznawania Filmów w Gdańsku na XI Festiwal Filmów Fabularnych; Teatr im. Cypriana Norwida w Jeleniej Górze na IV Międzynarodowy Festiwal Teatru Ulicznego w województwie jeleniogórskim; Rada Gminna PRON i Gminna Rada Narodowa w Łagowie na uroczystą sesję z okazji 22 Lipca; Biuro Wystaw Artystycznych w Gorzowie i Gorzowskie Towarzystwo Fotograficzne na otwarcie wystawy pt. „Zima” w fotografii Bronisława Bugla, fotoreportera „Gazety Lubuskiej”; Estrada Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze na program „Sekscesy”. Dziękujemy.

KONKURS

Przypominamy, że Lubuski Komitet Upowszechniania Prasy, Wydział Kultury Urzędu Miejskiego, Lubuskie Towarzystwo Kultury oraz Redakcja „Nadodrza” ogłosiły — z okazji XXV lecia Oddziału Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze — otwarty konkurs poetycki.

W konkursie uczestniczyć może każdy, kto do 15 września 1986 r. nadesłanie utworu o szeroko rozumianej tematyce symbolizującej święto plonów (winobranie, owocobranie, żniwa itp.).

Jury powołane przez organizatorów przyzna następujące nagrody:



I — 15.000 zł
dwie II — po 10.000 zł
trzy III — po 5.000 zł

Jury zastrzega sobie inny podział nagród.

Utwory, nigdzie dotąd nie publikowane, opatrzone godłem z załączoną kopertą zawierającą imię, nazwisko i adres autora należy nadsyłać w trzech egzemplarzach maszynopisu na adres: Redakcja „Nadodrza” pl. Boh. Stalingradu 13 65-958 Zielona Góra, skr. poczt. nr 40 z dopiskiem „Konkurs winobranowy”. Ogłoszenie wyników nastąpi w październiku br.

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo pierwszeństwa publikacji w „Nadodrzu” utworów nagrodzonych i zakwalifikowanych przez jury do druku.

Rowiński, Alfred Siatecki. Korekta: Maria Pledorowicz, Elżbieta Nesterów, sekretariat redakcji: Elżbieta Walęska. Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch” — Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe al. Niepodległości 25 65-942 Zielona Góra. Skrytka pocztowa 51. Centrala telefoniczna 44-61 do 57. Dyrektor: Zbigniew Pletkiewicz tel. — 717-95.

Druk: Drukarnia Prasowa ZWP 65-976 Zielona Góra ul. Reja 5. Ogłoszenia przyjmują Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa-Książka-Ruch” 65-942 Zielona Góra al. Niepodległości 25 oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiałów (tekstów i fotografii) nie zamówionych redakcja nie zwraca. W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skrótów i zmian tytułów.

I-18 Zam. 817

camera filatelistica

100-lecie Szwedzkiego Związku Filatelistów

Zbieractwo znaczków pocztowych w Szwecji rozwija się dopiero w ostatnich latach drugiej połowy XIX wieku. Początkowo są to nieliczne grupy miłośników nowego hobby. W 1890 r. zbieracze znaczków pocztowych powołali w Stokholmie Związek Zbieraczy Marek Pocztowych, który zgodnie z założeniami miał działać nie tylko w stolicy, ale także w innych miastach. Organizatorzy dyskutowali nawet nad zmianą nazwy na „Nordycki Związek Zbieraczy Marek Pocztowych”, bowiem Szwecja była pierwszym państwem skandynawskim, gdzie ten ruch miał największe zwolenników, ale pozostał tylko statutowy zapis, że członkiem Związku mogą być również obywatele sąsiadujących państw. Po czterech latach działania Związek w 1894 r. liczył już 110 członków ze Szwecji, Norwegii i Finlandii. Na walnym zgromadzeniu w 1901 r. podjęto decyzję o zmianie nazwy na Sveriges Filatelistförbund (Szwedzkie Stowarzyszenie Filatelistów), bowiem liczył już wtedy ponad 1600 członków z 265 miejscowości, a oddziały

Oprac. Stanisław Patycki

nadodrze

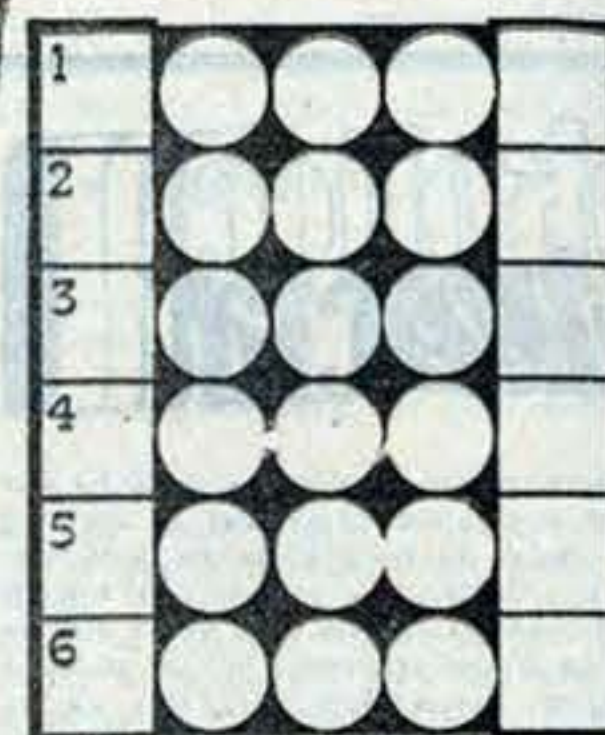
ROZRYWKI UMYSŁOWE

Logogryf

Litery w oznaczonych polach czytane
rządami poziomymi utworzą rozwiąza-
nie — przysłowie ludowe.

Znaczenie wyrazów:

1) artysta sceniczny; 2) element fru-
by; 3) kuzynka szakala; 4) bogini mąd-
rości; 5) kolega pszczołki Majki; 6) iow-
ny ptak, np. kszysk.



Kołowy kalambur wspakowy

Uszczelniać i część naleźności
oświeć nam ciemności

Rozwiązania zadań prosimy nadsyłać na adres redakcji w terminie 14 dni od
daty ukazania się numeru. Na kopercie lub karcie należy nakleić kupon zamiesz-
czony powyżej. Kupony z rozwiązaniami trzech zadań wezmą udział w losowaniu
nagrody książkowej wartości około 300 zł. Czytelnicy, którzy w tym losowaniu nie
będą mieli szczęścia, wezmą udział — razem z tymi, którzy rozwiązali 2 zadania —
w losowaniu 2 nagród książkowych po 200 zł.

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z NR 13, 14

Rozwiązanie zadań z nr 13:

Krzyżówka: Poziomo: banknot, popas, Agata, reżyser, Rosja, Kozak, tokarka, Itaka, małe, klarnet, trawa, fagot, świst, narkoza, ręka, Irena, karawan, kawka, trakt, jubiler, Atena, kwant, kantata. Pionowo: beret, nożyk, Naser, tarka, maskaron, parkiet, postawa, szarada, odlew, arras, kweś, tankowiec, Raksa, wizja, tama, świstak, ikebana, fraktat, kajak, rubin, willa, norka.

Kalambur: kantalupa.

Diakrostych: T. Fangrat: „Nie pomoże zeru i klasa papieru”

Nagrody książkowe otrzymują: p. Grzegorz Wróblewski ul. Słowackiego 7/4 66-400 Gorzów Wlkp. za rozwiązanie trzech zadań. p. Janina Kotlarska ul. Rauera 5 64-223 Kęblowo, p. Jan Małek ul. 1 Maja 13B m. 11 47-220 Kędzierzyn-Koźle, za rozwiązanie dwu zadań. Nagrody zostaną przesłane pocztą w sierpniu.

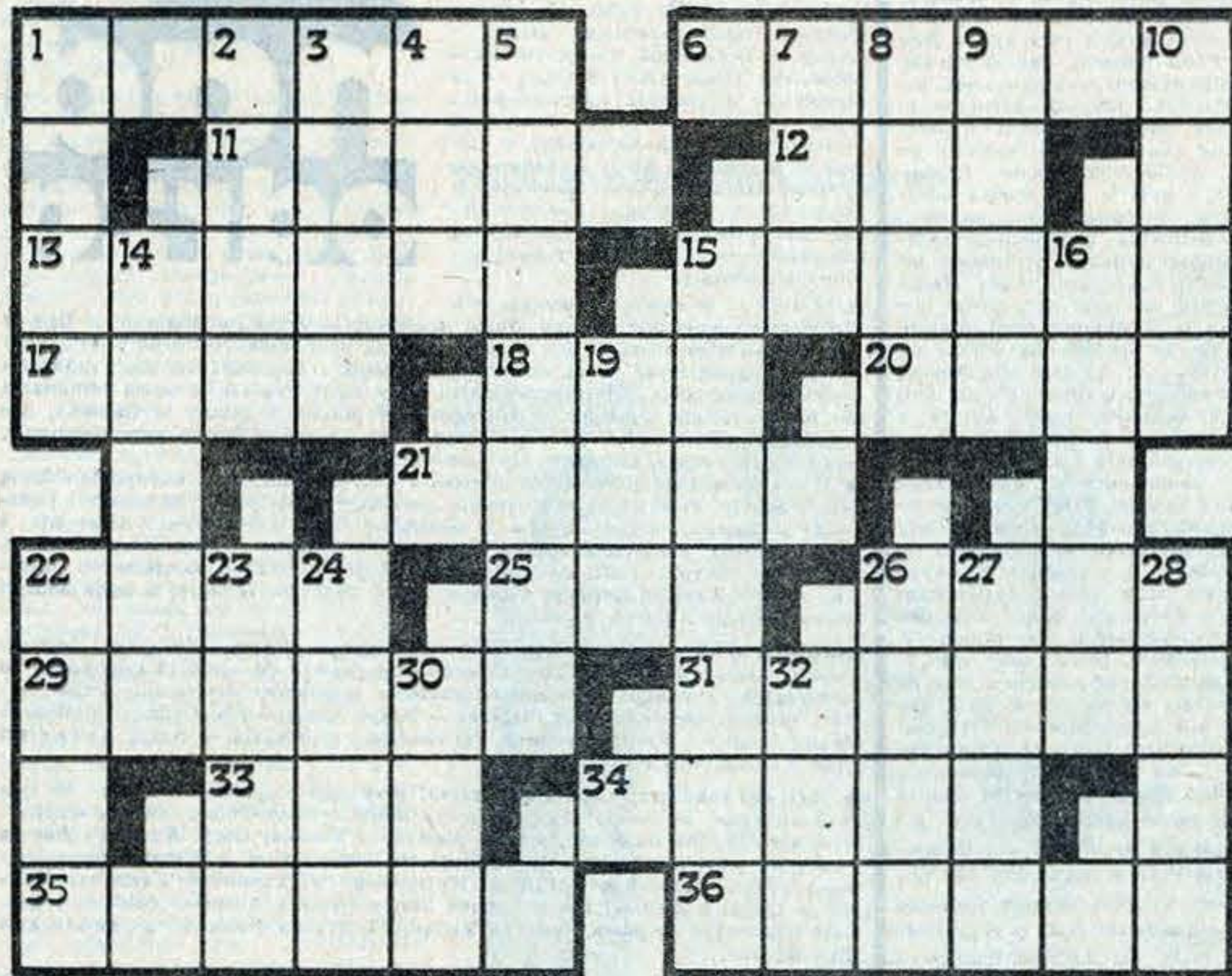
Rozwiązanie zadań z nr 14:

Krzyżówka panoramiczna: Poziomo: lam, Zola, burak, kar, lawa, Atena, San, plac, rak, dno, los, oranżada, tan, war, landara. Pionowo: kaszalot, raba-
ta, korał, murena, Sana, Szalopin, Oka, obawa, Wda, dar, gaża, czamara.

Krzyżówka tautogramowa: Poziomo: szczeka, szafran, sworzeń, rzepak, szczawa, szafarz, skrawek.

Krzyżówka dwuliterowa: Poziomo: ka-
rabinier, astronomia, bransoleta, strzy-
kawka, plakacista, masztalerz. Piono-
wo: karkas, bilion, Erynia, Trajan, om-
fale, brzość, Sołtyk, taczka, rzepak,
awaris, pinama, Akosta, talerz.

Nagrody książkowe otrzymują: p. Bohdan Biskiewicz ul. Pomorska 8 m. 30 50-218 Wrocław za rozwiązanie trzech zadań. p. Jan Piotrowski ul. Zawadz-
kiego 3 m. 9 65-530 Zielona Góra, p. Bogdan Kędziora ul. 22 Lipca 14 m. 3 68-300 Lubsko za rozwiązanie dwu za-
dań.



Krzyżówka

ZNACZENIE WYRAZÓW:

Poziomo: 1) rodzaj kaszy jęczmiennej; 6) kolizja drogowa; 11) król z jasełek; 12) najwyższa karta w grze; 13) diabeł; 15) natarcie kawalerii; 17) wydzielona strefa; 18) lekki metal barwy srebrzystej; 20) miasto z państwem; 21) kąpielisko nadmorskie w woj. szczecińskim; 22) autor „Lalki”; 25) dawniej niewol-
nik; 26) w dawnych wierzeniach duch podziemny; 29) przy obrabiarce; 31) lo-
że armaty; 33) czeskie potwierdzenie; 34) uchodzi do Zalewu Wiślanego; 35) zarosła; 36) posiedzenie.

Pionowo: 1) miasto nad jez. Roś; 2) dawny władca turecki lub mongolski; 3) litera grecka; 4) papuga; 5) biała broń używana przez ciężką jazdę; 7) u-
derzenie, cios; 8) bułgarski olejek z róż; 9) pył; 10) imię wieszczki; 14) bohater z filmu płaszcza i szpady; 15) wzór do seryjnej produkcji; 16) opis życia, np. świętego; 19) z żebra Adama; 22) skrzydlate stworzenie; 23) carski de-
kret; 24) stolica Jemenu; 26) harmider; 27) sieć do połowu ryb dennych; 28) miejsce walki zapasników; 30) skorup-
iak naszych wód; 32) dowódca w daw-
nej Turcji.

za to w sobotę deserek mam klawy:
nowy „Magazyn Lubuski”!

Zieloną Górę zielony wiatr muska,
na działkach zakwita kwiat,
nasza kochana „Gazeta Lubuska”
niechaj nam żyje sto lat!

PIosenka SPRZEDAWCY „RUCHU”

Byłoby nam bardzo miło,
gdyby gazet — nie było!
Prosty łatwy handel wtedy,
z drobnymi nie ma biedy!
Mydło i proszek do prania,
zabawki, smoczki do ssania,
perfumy i z pluscu kotki,
antykoncepcyjne środki,
kokoski, do zębów pasta,
papierosy — i basta!
Żeby tylko ktoś, o rety,
zabrał od nas te gazety!
Nie robi się w niebie dziura,
gdy z kiosku zniknie ta makulatura!
My postulujemy
i niech ktoś rozkaże,
żeby prasę sprzedawali
sami dziennikarze!

PIosenka PT.

„NIE MA TO JAK DZIENNIKARZOM”!

Nie ma to, jak dziennikarzom,
nie nie robią, tylko lażą,
tutaj lawka, a tam kawa,
tu zgubiony wczoraj dzień!

Nie ma to, jak dziennikarze,
marymarze i korsarze,
za pogodą, za przygodą,
choć na czołe chmurki cień!

Szumi wichrem wiek dwudzie-
ście wielkie, idzie nowe,
ty uknąłeś gdzieś w pół słowa,
a ja mogłam — dziś nie mogę...

Dziennikarze, dziennikarze
niewyspane mają twarze,
niewysokie mają gęby,
i za krótkie mają sny!

II. Nie ma to, jak dziennikarzom,
nie nie robią, tylko lażą,
tu karnawał, a tam zawal,
i syreny słychać śpiew!

Nie ma to, jak dziennikarze,
nikt pracować im nie każe,
myśli płyną nad maszyną,
a za oknem wiosny zew!

Na upale i na mrozie,
raz pod wezsem, raz na wezie,
na zakręta można
rozbić sobie nos...

Mala forsą, duże piwo,
kto rozdaje, ten wygrywa,
dziennikarze, dziennikarze
taki los, to los na stos!

PIosenka PT. „ACH KRZYYSIE”

Kto koncepcję ma społeczną,
kto doktrynę nosi wsteczną,
co jest polityki sednem, a co anem?
Gdzie jest prawda, gdzie jej nie ma,
jak rozwiązać ten dylemat,
co w reformie jawą jest, a co jest snem?

Ze jest nowe objawienie —
przyspieszenie, przyspieszenie,
przyspieszamy więc ten program, aby mieć
jakieś konto — w nim otwarcie,
jakieś plecty — w nich oparcie
i wpisany w kartotekę mały plus...

R. Ach, kryzysie
ty dobrze przypatrz mi się!
Czy ja może jestem niedożywiona?
Nieubrana, głodna, niedokarmiona?

Ach, kryzysie,
już wszyscy dziwią ci się,
co robisz tutaj? Daj nam żyć
i już do diabła idź!

Ktoś ukradnie, ktoś pożyje,
na PKO coś odliczy,
na Batorym przez ocean rejs dla mas,
tutaj sklepy — tam butiki,
tu pietruszka — tam szaliki,
no i modnie być w Peweksie raz po raz!

Za to państwo wszystkim gościom —
dodatkowe kilo z kością,
z kartką wartko ci w kolejce mija czas —
spójrz do lustra, jak wypadasz,
popatrz także na sąsiada
i zaśpiewaj razem z nami właśnie tak:

R. Ach, kryzysie... itd.

PRASOWE TANGO

To nasza mama, to nasz tata
nasza kasa,
zielonogórska RSW „Prasa”,
dla niej te rymy,
dla niej dziewcząt naszych wdzięki,
o niej i dla niej
najpiękniejsze są piosenki!

Niech się w Drzonkowie dzisiaj dowie
ludzi masa,
Co skrót ten znaczy — RSW „Prasa”?
To jest spółdzielnia robotnicza,
wydawnicza,
do niej zalicza się tytułów sto!

Na okres kanikulu
wystarczy dwa tytuły:

„Lubuska” ci „Gazeta” poczytam dziś do
smu!
A ja postąpię dobrze —
przeczytam ci „Nadodrze”
z zielonogórskim znakiem RSW!
(...)

BALLADA O ZIELONEJ GÓRZE

I. Wypada, nie wypada,
niech płynie ta ballada
przez ulic sznury
Zielonej Góry!

Ballada ma wypłynąć,
by nasze miasto śliczne
w świetle rozświecić,
gości zabawić
i rzuć im kwiaty!
(...)

II. Lat ponad już czterdzieści
nam upłynęło gdzieś,
jak w Odrze woda,
szkoda ich, szkoda!
Jak tu nie kochać miasta,
w którym, gdy święto wina
każda dziewczyna
wprost na ulicy
calusa ei da!
(...)

III. Chwalmy więc wszyscy chorem
naszą Zieloną Górę,
ale polowa
— jest — dla Gorzowa!!

Zielonogórski kabaret „BABY”

(fragmenty)

Teksty: HALINA AŃSKA

MONOLOG CZYTELNIKA

Rano lazieneczka
i do zębów szczoteczka.
W papier z masłem bułeczka,
a do ręki co? Teczka.
Robi „pa” ci żoneczka
i już schody, ulica.
Wszystko wokół zachwycę,
ranek słońce się budzi.
Mknę do pracy tłum ludzi,
wtopiasz się więc w tę falę.
Idziesz spiesząc się, ale
nim osiągniesz swą mecie,
musisz kupić „Gazetę”
w kiosku „Ruchu”, jak co dzień.
Prawie każdy przechodzień
z nią zaczyna swój dzionek.
Wesół więc, niby skowronek
szukasz — jest, jest moneta!
Za monetę — „Gazeta”,
która zbliży do ciebie
świata ogrom i detal.
Od tych wiadomości
pegniejesz, jak kluska.
Tak służy Czytelnikom
„Gazeta Lubuska”!

PIosenka CZYTELNICZEK

Rano się spieszę, ni chwili nie zwlekam,
mężus w lazience się pluska,
lece do kiosku, bo tam na mnie czeka
moja „Gazeta Lubuska”!

Czytam na głos, gdzie zdarzyła się draka
mężus mnie słucha i dziecię
i cały świat za te polskie złotówki
mamy w „Lubuskiej Gazecie”!

Ser na śniadanie, bułeczka do kawy,
na obiad zaś z serem kluski,